Nr. 17. Kraków, 1 Września 1892 r. Rok II.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . . . . . 1 „ 80 „
miesięcznie . . . . . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Floryańskiej L. 32, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie: we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

Emigracya ludu ruskiego.

Obawiamy się, by nie zagościła do nas sroga władczyni ze Wschodu idąca; strwożeni więc nadstawiamy uszu. śledząc pilnie i gorączkowo, dokąd już cholera doszła i gdzie krwawe swoje rozpoczęła żniwo. Tymczasem tu wśród nas groźnie szerzy się inna choroba — cholera emigracyjna.

Z nadgranicznych powiatów wschodniej Galicyi ludność ruska tłumnie ucieka, rzuca swoje pola i zagrody, bądźto za darmo je oddając, bądźteż odsprzedając za bezcen i przekracza granicę, gdzie ją rosyjska straż graniczna z otwartymi rękoma przyjmuje, suto ugaszcza i w głąb kraju podwodami odstawia.

W okolicach gdzie się tak dzieje, gorączka emigracyjna szerzy się endemicznie; tam jest jej stałe siedlisko, tam więc muszą tkwić przyczyny, dla których się ciągle ponawia. Pomijając czasy dawniejsze, i w zeszłym roku ludność z tych samych okolic emigrowała — do Brazylii. Nie wiemy dotąd, jakie są bezpośrednie przyczyny obecnego wychodźtwa, ale na pewno twierdzić możemy, że czcigodny nasz sąsiad północny rękę swoją w tem umaczał. Znane są bowiem aż nadto trudności, jakie żandarmi rosyjscy stawiają podróżnym przebywającym granicę a zaopatrzonym w paszporty legalne, aby się nie dziwić, że ta sama straż chłopów galicyjskich, nie mających paszportów, nietylko przez granicę puszcza, ale ich nawet podejmuje i podwody im daje. Co za piękny przykład gościnności i przyjaźni sąsiedzkiej!

Zabiegi te rosyjskie byłyby jednak płonne w obec ludu ruskiego, który tak do swych siedzib jest przywiązany, gdyby nie nurtowały w nim inne przyczyny. jak drzewo smolne nagromadzone a czekające tylko — iskry, aby zapłonąć. Taką iskrą były obiecanki o bogactwach za morzem, takąż są też cacanki czynowników moskiewskich dotąd nam nieznane.

Nie ma czego taić. Nader opłakane stosunki ekonomiczne tych powiatów. ogromne podatki jakie lud tam płaci, krzywdy wyrządzane mu przez wyzyskiwaczy, którzy ziemię opanowali — słowem brak wszelkiej opieki powodują, że powiaty te stanowią tak podatny grunt dla działalności wszystkich żywiołów, pracujących pod hasłem dobra ludu a wiodących go na — zgubę. Wojsko wysłane może chwilowo wychodźtwo wstrzyma. Może i dyplomacya nasza w Petersburgu otrzyma pożądane wyjaśnienia, o które tam wcale nie trudno, gdzie się trzymają zasady: prawa twoja ręka niech nie wie, co lewa czyni; gdzie postępki nieoficyalne nie są bynajmniej identyczne z dyrektywą oficyalną. Boć trudno przypuścić, żeby puszczanie przez granicę ludzi bez paszportu, przyjmowanie ich przez kapitanów straży itd. odbyło się bez wiedzy władzy wyższej, choć gorliwi niewolnicy przekraczają może otrzymane polecenia, jak o tem świadczy rozwalenie łba austryackiego strażnika granicznego przez sołdata moskiewskiego. Minister powie, że nic nie wie. a satysfakcya dla Austryi polegać będzie na posunięciu winnych na wyższe stopnie. Taka to już satysfakcya moskiewska. Lecz na chorobę trzeba środków radykalnych. Nie należy sprawy zasypiać bo będzie za późno, chyba że władze rządowe i autonomiczne nie zamkną nadal oczu na smutne i opłakane położenie ludności rolnej w ogóle a w powiatach nadgranicznych w szczególności, lecz przeciwnie uprzytomnią sobie możliwość rozmiarów możliwej klęski, energicznie zabiorą się do wyczyszczenia stajni augiaszowej i pilnie poczną pracować około gruntownego wykorzenienia robactwa, które spokój i mienie kmiotka biednego toczy, ład i porządek niszczy i uniemożliwia.

A wtedy żadne bogactwa zamorskie, żadne wabienia syreny północnej nie zakłócą porządku w naszym biednym kraju. Wtedy chłopek ruski nie pójdzie — choćbyś go kijem gnał!

N. Z.

ZA ODLOTEM DUCHÓW.

Smutno, gdy duchy lepsze, silne, uskrzydlone,
Zwolna jeden po drugim w cichy grób się kładą,
Kryjąc lica swe jasne za mroków zasłonę,
Zostawiają za sobą nić posępną, bladą.

Smutno, kiedy już światło geniuszów zagasło,
Zabrakło skrzydeł orlich... pośród ciszy głuchej,
Bez echa kona zwolna wielkich myśli hasło,
I milcząc, idą w mrokach zasępione duchy.

Życie, jak jedna szara, pusta, mroczna droga,
Na której już nie widać ideałów Boga,
Ni kwiecia, które zachwyt u stóp jego ściele.

Tron jego upadł w gruzy w serc naszych popiele!
Nikt nie wie, dokąd idzie w tych cieniach żałoby!
A w koło tylko groby... groby... same groby!

Witelion.

SZCZĘSNA-CYBULSKA

(Portret literacki).

Jeżeliby można było zdjąć duchowy profil Szczęsnej, to kontury tego szkicu musiałyby być rzucone lekką, miękką dłonią, a pędzel maczany w jakichś eterycznych farbach. Panna Cybulska bowiem, nieodrodna córka znakomitego profesora literatury polskiej ze szkoły Hegla, jest idealistką czystej wody. Pozycyi tej swego ducha nie opuszcza nigdy; jestto jej Stralsund, zawieszony na łańcuchu z niebios, którego broni do ostatka. Muza jej nie rzuca się w wir tych ogólnych, społecznych cierpień, które szarpią wnętrze Konopnickiej, nie troczy po niteczce, owych mniejszych, osobistych niepokojów, co się psychicznej róży Asnyka trzymają jak ciernie, ale wzbija się na idealne wyżyny, okrążając z tego oddalenia bagniska nędzy ludzkiej, pełne strumieni krwi i kałuży błota.

Duch jej wznosi się na skrzydłach fantazyi, lecz wysoko, po nad ruiny złudzeń i prochy omyłek, ponad wypalonych namiętności popioły jeszcze gorące. Pochodnią, która w tym zawrotnym labiryncie rozświetla jej ciemności, dodaje odwagi, pokrzepia i koi w walce z kuszącemi jeszcze zmorami niepokoju, jest ofiarny płomień miłości chrześciańskiej, którym pragnęłaby jak słupem ognistym uderzyć w serca ludzkie, rozgrzać je do czerwoności żelaza i jednym zamachem podnieść na szczyt społecznego bytu, aby je nakarmić ambrozyą wolności i napoić nektarem najsłodszych

uniesień prawdy i piękna. Skrzydlata Psyche, spływająca z przelotnych chmur w blado różowej — jak obłoczek — sukience, z oczyma płonącemi »zaziemskiem« światłem, to najwierniejszy odcisk duszy młodej poetki.

Ciernie poraniły jej nóżki, bodiaki wplątały się we włosy, pajęczyna osnuła szyję a słota i wichry przyciemniły twarzyczkę napowietrznej turystki, ona jednak, krocząc po tej skalistej drodze, marzy i z ufnością biegnie naprzód — w złudzeniach. A gdy nieprzyjaciel wystawi swe ostre, krzywe pazury i zacznie jej grozić, ona uderzy w motyle skrzydła i wyfrunie co prędzej, uchodząc szczęśliwie wstrętnego zetknięcia z brudną rzeczywistością.

Strumień twórczości Szczęsnej sączył się od dawna w ukryciu. Już w zaraniu, w latach dziecięcych ogarniały ją chwile niepokoju, tęsknoty, pragnienia, z których nie umiała sobie zdać dokładnej sprawy. Wówczas najlepszem lekarstwem były książki; studyowała z zamiłowaniem Kochanowskiego i Krasickiego a wpływ romantyków zostawił na jej utworach niezatarte bruzdy. Wcześnie złożywszy egzamin nauczycielski (dla szkół ludowych i wydziałowych z grupy historyczno-językowej) znalazła się naraz u kresu nauki, jaka u nas kobiecie stoi otworem i przestępowała progi wiedzy. Wzięła się głębiej do literatury. estetyki, i do — filozofii. Z tą filozofią nie mało było kłopotu, bo wszyscy znajdowali, że się panience nie daje takich książek do ręki; lecz ognista fantazya dziewczęcia, która w dzień nie dawała spokoju, a w nocy tworzyła sny nadzwyczajne, nie przestała szukać ukojenia w szerokich zagadnieniach wszechbytu. Od owego czasu zaczął się w jej główce formować ład i porządek. Pobyt w Dreźnie — tamtejsze galerye, rzeźby i muzyka — wprawiły duszę jej w ruch niezwykły i pobudziły do twórczości. Było to czysto subjektywne, gorące obudzenie się talentu, przemawiające z prostotą dziecka. W owym czasie zalatywały ją, wychowana przez matkę i ciotkę w ojców wierze i tradycyi, echa walki pozytywistów z konserwatystami. Słyszała o narzekaniach krytyków na podmiotową treść poezyi, przeglądającej się tylko w zwierciadle własnych — często urojonych — bolów. Stało to wprost w przeciwieństwie z jej wewnętrznym prądem, który się zrywał na skrzydłach pieśni a chcąc się wznieść w dal musiał się przecież odbić od własnego serca. W r. 1883 był już gotów do druku tomik poezyj, z których kilka kwiatów wiosennych zerwała wcześnie redaktorka »Bluszczu«.

A kiedy Konopnicka zapowiedziała w literaturze »Swit« nowej ery dla kobiet polskich, dorzuciła i Szczęsna parę monet ze swej skarbnicy literackiej. (Trzej królowie: Edyp, Lir i Derwid w »Swicie,« Rzymianki Szekspira — kilka myśli o Odzie do młodości w »Ognisku« i t. p.) Paroletni pobyt w Warszawie był dla niej bardzo pożyteczny. Nawiązała serdeczniejsze stosunki z przedstawicielkami dwu przeciwnych obozów (Ilnicką i Konopnicką) zaczęła się ocierać o redakcye pism: »Tygodnika ilustrowanego«, »Kłosów,« »Życia«. Na konkursie »Tygodnika« została nawet jej »Safona« odznaczona obok poematu Konopnickiej. Z tego wszystkiego wyrabiał się w jej duszy pewien spokojny, tolerancki, zawsze górny punkt widzenia, który, chociaż nachylał się w tę i w ową stronę, trzymał się przecież ostro, żeby nie zmylić swej gwiaździstej drogi. Osiadła stale w Galicyi — na zimę we Lwowie, przez lato u siostry w zamku pomorzańskim, — zetknąwszy się z ludem wiejskim i jego nędzą próbowała kierunek swoich studyów zmienić z filozoficznego na społeczny. Ale wpływy dziedziczne i rodzinne były silniejsze od tych ostatnich, które powoli i przebojem tylko torują sobie ścieżki przez gąszcze zachowawczej sfery. Nie myślcie jednak, żeby należała do tych kobiet, któreby rade zdusić każdą iskrę tlejącego postępu, coby chciały szarem skrzydłem puszczyków zetrzeć z dachów resztę słonecznej pozłoty. Ona czuje w sercu bezdenną tęsknotę przyrody i ducha za światłem, nie tem jednak, które ogrzewa maluczkich lub dodaje otuchy schorzałym, ale za tem źródłem wszelkiej jasności, zawieszonem gdzieś w przetworzach nieskończoności. Spragnione jej, usta nie dotknęłyby się mętnej wody »doczesności«, one poją się falernem nieśmiertelnych duchów, a karmią narkotykami mistycznych uniesień.

Miłość Ojczyzny zajmuje, po wyidealizowanej Opatrzności, najpocześniejsze miejsce, pali się ona w jej sercu i głowie, jak ofiarny stos królewski. Ojczyzna ta, przebrana w historyczną purpurę praojców, maczaną we krwi wylanej na tylu polach bitew i walk o niepodległość, przedstawia się jej wzrokowi w dawnych szerokich granicach od morza do morza. Wierzy w czarodziejski wpływ narodowego stygmatu przeszłości i rozumuje mniej więcej tak: Jeśli bakterye złego z tak szaloną szybkością rozchodzą się po świecie, czemużby i atomy dobra, poświęceń, prawdy, zapału z pergaminów tych odbić się nie miały dziejowym stygmatem na duszach, zbudzonych do dalszej walki z wrogiem Ojczyzny. Wiara w zwycięstwo idei dobra, prawdy i piękna jest nagrodą idealistki. Wierzy ona, że Goliat egoizmu, na chlebie bezprawia spasiony, runie jak długi z ręki słabego Dawida sprawiedliwości, który, gdy uderzy ostatnia chwila rozpaczy i oburzenia, zjawi się niespodziewanie silny, niewinny, nieustraszony, jednym grotem prawdy oczyści pole walki z rozkladowej przewagi Goliatów i na ich powalonem cielsku wygłosi zwycięzki psalm miłości. Cały świat jej ducha drży już od iskier tej pieśni, słoneczny hymn miłości zmięszany z uwielbieniem dla Stwórcy, faluje z góry na dół, z padołu ku błękitom wszystkie twory w rozwojowej drodze swych przemian śpiewają coraz czystszą, wolniejszą, wyższą pieśń miłości, pieśń nad pieśniami. Wie ona, że miłość ta, ażeby świat zbawiła, nie może być filantropijną, ale prawdziwie bratniem uczuciem, które podnosi i stawia na własne nogi a nie trzyma pewnych klas w sferze zapomogowej, tak duchowej jak moralnej. Wie już, że lud nasz powinien uczuć się człowiekiem, że gdy mu damy byt swobodniejszy i wywalczymy prawo dla pracy a opiekę wytworów tej pracy, to silniejszy ciałem — będzie lotniejszy duchem i okienka większe uczyni

---

KLĘSKA

(La débâcle).

POWIEŚĆ

przez

13) **EMILA ZOLĘ.**

Już teraz stawało się to matematycznym pewnikiem: musieli francuzi zostać zwyciężeni dla mnóstwa rozlicznych przyczyn, których ostateczną wypadkową było starcie ogłupionej brawury z wielką liczbą i zimną metodą. Wszelkie opory i wszelkie rozumowania na nic się nie zdały — klęska była pomimo wszystko konieczną, nieuniknioną, jak wynik sił natury, które światem rządzą.

W tem rozmyślaniu Maurycy, zapatrzony przed siebie na mur przeciwległy, wyczytał znowu okrzyk: „Niech żyje Napoleon!...“ wykreślony węglem na żółtem tle. Dziwnie bolesne to na nim zrobiło wrażenie, jakby pchnięcie rozpalonem żelazem w samo serce. Więc to prawda, że ta Francya, Francya, której zwycięztwa niezliczone legendy potworzyły, Francya, która przed laty spacerowała po Europie całej z muzyką na czele, teraz została roztrącona od jednego razu przez jakiś mały narodek wzgardzony!.. Pięćdziesiąt lat wystarczyło na to, świat się zmienił, klęska spadała straszna i przerażająca na tych, co wiecznie zwycięzcami bywali. I przypomniał sobie to wszystko, co mówił jego szwagier, Weiss, podczas tej nocy niepokoju pod Milhuzą. Tak, on jeden przewidywał... on jeden odgadywał przyczyny powolne i tajne osłabienia francuzów, czuł wiatr nowy młodości i siły, który wiał od Niemiec. Jedna epoka wojenna się kończy, inna się zaczyna!... Nieszczęście na tych, którzy zatrzymują się i stają na miejscu wśród ciągłego postępu narodów, zwycięstwo dla tych, którzy idą naprzód w awangardzie, dla świadomszych, dla zdrowszych, dla mocniejszych.

Ale w tejże samej chwili rozległy się śmiechy, krzyki dziewczyny, z którą się ktoś drażni i która się półżartem broni. Był to porucznik Rochas, który w starej zadymionej kuchni, upiększonej widokami Epinal'u, ściskał tę ładną dziewczynę, która usługiwała do stołu i miał przytem minę istotnego zwycięzcy. Ukazał się pod altanką, gdzie kazał sobie podać kawy, a ponieważ usłyszał ostatnie wyrazy Coutarda i Picota, wmieszał się do rozmowy wesoło.

— E!.. co tam moi chłopcy, to nic, wszystko to nic!.. To dopiero początek zabawy... teraz zobaczycie jaki to będzie odwet wspaniały!.. zobaczycie zaraz!.. Rozumie się!.. Dotychczas było ich ciągle pięciu przeciwko jednemu... ale to się zmieni... już ja wam na to daję moje słowo!... Jest nas tu trzykroć sto tysięcy. Wszystkie ruchy naszych wojsk, których nikt nie rozumie, są tylko po to, aby ściągnąć na nas prusaków, gdy tymczasem Bazaine, który ich ma na oku, tyły im zabierze... Wtedy będziecie widzieli jak ich zgniećiemy!... klap!... oto tak, jak tę muchę!...

Szybkim ruchem obu rąk złapał w lot muchę między dłonie i silnem głośnem klaśnięciem zgniótł ją rzeczywiście. Weselił się i śmiał szczerze i wierzył w niewinności swej w ten plan tak łatwy, popadając na nowo w wiarę bezgraniczną, na niczem niezwyciężonej odwadze opartą. Uprzejmie wskazał obu żołnierzom miejsce, gdzie się znajdują ich pułki, potem szczęśliwy, z cygarem w zębach, zasiadł do swej filiżanki.

— Cała przyjemność była po mojej stronie, koledzy!... — odpowiadał Maurycy biednym chłopakom obdartym, którzy, odchodząc, dziękowali mu za chleb, ser i butelkę wina.

Kazał sobie także podać filiżankę kawy czarnej i przypatrywał się porucznikowi, jego dobrym humorem na wpół zwalczony. Dzi-

w swej chacie i w swej duszy. Ale w środkach do tego celu trzyma się oburącz klamki konserwatystów, woła więc aby »nie burzyć wszystkiego ze szczętem, nie zawalać drogi gruzem, lecz przebudowywać,« zbutwiały gmach nędzy o którym przepowiada na innem miejscu, że musi runąć w proch i niepamięć. Przylepiwszy plasterek organiczny do jątrzącej się rany, zapisuje choremu pigułki produkcyjnej pracy. Wszakże i tutaj nie opuszcza swych skrzydeł marzycielstwa. Nie lubi mizernoty liliputów, którzy nitkami pajęczemi osnuli śpiącego olbrzyma; u niej jak u tego olbrzyma wszystko obmyślane na ogromne rozmiary, o gigantycznej sile; nie cierpi ubitych dróg, wydeptanych żółwimi krokami, wygładzonych przez ślimaki, ale kocha nieskończoność, którą mierzy tylko miarą miłości albo wagą cierpienia.

Oblane światłem idealistycznego poglądu na świat przybierają i krajobrazy jej odpowiednie zabarwienie. Wśród tajemniczych »ruchów nieskończoności« kosmosu — czuje ona w sobie nieśmiertelny punkt środkowy, oś nachyloną ku »odwiecznej« przyczynie wszechrzeczy. Cała przyroda w jej oczach to tylko krótki list Stwórcy, rzucony między jedną nieskończoność a drugą. Z gwiaździstego hamaku »zaświatowych« rozmyślań odczytuje więc z zachwytem tablice rozwojowych przykazań natury, ogarniając wzrokiem szerokie horyzonty, całą organiczną pracę przyrody, idącą z góry od szumnych wierzchołków niebotycznych gór przez wszystkie stopnie społeczeństwa zwierzęcego i roślinnego, aż do niewidzialnej i potężnej pracy istot najdrobniejszych. Wielka, olśniewająca fantazya, gorący temperament, niezmierna wrażliwość, i język iście poetycki, misternie rzeźbiony dłonią niewieścią — oto są elementy ostatniego zbiorku jej poezyj prozą, zatytułowanych »Przelotne chmury«. (Lwów księgarnia H. Altenberga 1892). Przypuszczają, że utwór poety to jego »ja« i otóż gdyby wolno było porównać ostatnie to dziełko z jednym, a duszę poetki z drugim trójkątem, to spostrzeglibyśmy jedne tylko linię przystającą, dwa drugie ramiona ducha sięgałyby w dal po za obręb trójkącika »chmur«. Jestto bowiem właściwością twórczości idealistki, że nie lubi z realną dokładnością spowiadać się z walk, cierpień i zwycięstw niewidomych, które się odnosi na utajonych polach serca. »Przelotne chmury« wrażeń, przepływające przez błękitną powierzchnię jej duszy, powiewem czasu gnane i zacierające się w lot, zakrywają raczej, niż odsłaniają to »ja« poetki. Sama ona czuje zbyteczną nieśmiałość w kreśleniu uczuć, jakby powstrzymywanie płomienia, żeby nie wybuchnął.

Jest pewne w jej pracach nieomawianie wszystkiego, co się czuje, okrążanie zbyt idealne świata »doczesnych« wzruszeń, zbyt silne marzenie namiętności, która jest przecież motorem obrotowym tak w sercu jednostki, jak w pulsie ogólnego ciała społecznego. Przyczyna tego leży w jej idealnym kącie widzenia. Oliwy do ognia dodaje wstręt autorki do całej naturalistycznej literatury, która zalała świat »bajkami o zmysłach ludzi« i na tych zmysłach »jak na fałszywej drumli rzempoli«. Pociesza się ona że to »rzempolenie« odbywać się będzie tylko w dziedzińcach literatury pięknej, do wnętrza świątyni nie dotrze, ale póki trwa, drażni słuch delikatny idealistki i sprawia jej obrzydzenie moralne. Rozumie ona, że trzeba brać człowieka całego, jakim go życie w pełni wyrobiło, ale nie pojmuje jak można. kreśląc »dyagnozy kliniczne na historycznych okazach,« zacierać ducha i wolę, sumienie, nawet odpowiedzialność za siebie. Stając na wyżynie etyki idealistycznej i pragnąc w swych pismach uniknąć »szkodliwości« tych wpływów, przesadza we wstrzemięźliwości purytańskiej, która gorętsze momenty jej natchnienia przytłumia. A choć nie przychodzi jej bez trudu i walki takie tłumienie ognistszych pokładów ducha, które chcą też wyrazić się i wyśpiewać, to przecież, zanim przejdzie pieśń przez wszystkie warstwy tej tajemniczej kwadratury ducha, jakiem jest jej tworzenie — ulatnia się ta ciepła krew rzeczywistości w parę idealizmu.

Dr. Henryk Biegeleisen.

H. W. RIEHL.

Nowela i Sonata.

Dwoje dotychczas zdala od siebie żyjących ludzi, nagle odkrywa, że łączą ich jakieś węzły pokrewieństwa; pokrewieństwo to wprawdzie dalekie. ale ludzie ci są kuzynami. Zastanawiając się więc nad tem nowem odkryciem, przypominają sobie zamierzchłe jakieś stosunki, o których niegdyś w rodzinie każdego przebąkiwano i powoli rozwija się cała kronika rodzinna; krócej mówiąc: zaledwie pierwszy węzeł nanowo zwarty, krewniacy nasi tak ściśle czują się złączeni, jak o tem we śnie nawet nie marzyli. A co najważniejsza: każdy z nich poznaje przy tej sposobności własną kronikę domową tak szczegółowo, jak inną drogą nigdyby poznać jej nie mógł.

Tak bywa w życiu — tak dzieje się i w sztuce.

Nowela i Sonata! Możnaby zapytać, czy też wogóle są one bliżej jak przez Adama i Ewę ze sobą spokrewnione? Badajmy jednak stopniowo jakikolwiek możliwy między niemi związek rodzinny. a może uda nam się odkryć nietylko zewnętrzne, niespodziane stopnie spowinowacenia, ale i głębsze rysy duchowego braterstwa.

U drzewa genealogicznego pytamy przedewszystkiem o nazwiska.

Nowela i Sonata! Obie to nazwy włoskie, obie ściśle nic nie wyrażają, pierwsza bowiem oznacza nowinę, druga — coś brzmiącego, dźwięczącego, „Klingstück“ jak tłomaczyli puryści niemieccy epoki scholastycznej w przeciwstawieniu do kantaty, którą „Singstück“ zwali. Nazwa wyprzedziła rzecz i utrzymała się, przedmiotu wcale wyróżniająco nie oznaczając, jak większa ilość nazw.

Tak nowela, jak i sonata pochodzą z Włoch; nowela jednak powędrowała do Hiszpanii, Francyi, Niemiec, Anglii, Rosyi, Danii, wreszcie przeszła świat cały; sonata w Francyi przeważnie zmieniła się w „suitę“ i z tych

---

wiło go wprawdzie mocno te trzykroć sto tysięcy wojska, gdyż wiedział, że ich jest ledwie sto tysięcy i dziwiła go ta szczególna łatwość zgniecenia prusaków pomiędzy armią z Chalons i armią z Metzu... ale i on przecież także złudzeń pragnąć musiał... Dlaczegoż tracić zupełnie nadzieję, kiedy przeszłość sławy pełna, hymn tryumfu śpiewała ciągle i głośno w jego pamięci. A przytem oberża była tak wesoła, altanka tak miła, ocieniona tak pięknem winem, na którem tak pełne wisiały grona, słońcem ozłocone!... Na nowo na chwilę odrodziła się w nim ufność, która zapanowała ponad głuchym smutkiem, w tak wielkiej masie w sercu jego nagromadzonym.

Maurycy przez chwilę śledził oczyma jakiegoś oficera od strzelców afrykańskich, któremu towarzyszył ordynans. Obaj oni zniknęli, pełnym kłusem jadąc, za rogiem tajemniczego domku, zajmowanego przez cesarza. Potem, gdy ordynans ukazał się znowu sam i zatrzymał się z dwoma końmi u drzwi oberży, krzyknął ze zdziwienia.

— Prosper!... jak się masz!... a ja myślałem, że ty pod Metz siedzisz!...

Był to znajomy chłopak z Remilly, prosty parobek folwarczny, którego Maurycy znał dzieckiem jeszcze, gdy czasem przyjeżdżał na wakacye do wuja Foucharda. Wyciągnąwszy los do wojska, Prosper ów od lat trzech był w Afryce, gdy wojna wybuchnęła i doskonale wyglądał w jasnoniebieskiej kurtce, w szerokich spodniach czerwonych z lampasem niebieskim i czerwonym pasie wełnianym. Długa jego szczupła twarz, członki giętkie i muskularne zdradzały siłę i zręczność niezwykłą.

— Patrzcie państwo!... to spotkanie!... Pan Maurycy!...

Ale nie spieszył się jakoś... Odprowadził do stajni konie spienione, pilniej przecież ojcowskiem okiem na swego zwracając uwagę. Zamiłowanie do konia, którego zapewnie nabrał od dzieciństwa, gdy prowadził bydło do orki, skłoniło go do wybrania sobie służby w kawaleryi.

— Bo to widzi pan my przyjeżdżamy z Monthois... Przeszło dziesięć mil francuskich jednym tchem — rzekł, wracając — i Zefir chętnie coś przetrąci!...

Zefir to był jego koń. On sam nic jeść nie chciał, przyjął tylko filiżankę kawy.

Czekał na swego oficera, który znów czekał na cesarza. Mogło to trwać pięć minut, ale mogło też trwać i dwie godziny. Oficer kazał mu konie w cieniu umieścić. A gdy Maurycy, zaciekawiony, zarzucał go pytaniami, zrobił gest jakiś niewyraźny.

— Nie wiem... Pewno jakieś polecenie... Papiery do oddania...

Tymczasem Rochas czułym wzrokiem przypatrywał się strzelcowi, którego mundur budził w nim wspomnienie Afryki.

— Cóż, mój chłopcze!... a tam... gdzieś był!?...

— W Médéah, panie poruczniku.

Médéah!... I zaczęli rozmawiać, zbliżeni sercem, pomimo różnicy stopnia. Prosper przywykł do tego życia w ciągłym niepokoju, zawsze na koniu, wychodzący do boju tak, jak się wychodzi na polowanie, na jakąś wielką nagankę arabów. Bywało czasem, że mieli jedną miskę na sześciu ludzi, na pokolenie i każde pokolenie stanowiło jakby rodzinę, jeden gotował, drugi prał bieliznę, inni namiot rozpinali, czyszcząc broń i troszcząc się o konie. Kłusowało się rano i po południu z ogromnymi pakunkami w palącem słońcu podzwrotnikowem. Wieczorem zapalono ognie, aby się opędzić złośliwym owadom, ognie duże, około których śpiewano piosenki ludowe francuskie.

Często w noc jasną, gwiazdami jarzącą, trzeba było wstawać i uspokajać konie. które, ciepłym wiatrem podrażnione, gryźć się nagle zaczynały, lub też zębami drzewce namiotów z ziemi wydzierały, rżąc przytem straszliwie.

to zawiązków włoskich i francuskich powstała dopiero w Niemczech wzniosła forma sonaty. Takim sposobem Niemcy właściwie drugą, a ostatecznie prawdziwą ojczyzną sonaty nazwać można. Włochy dały nam nowelę, mało z niej dla siebie zachowując; dały sonatę, dozwalając na zupełną prawie jej u siebie zatratę.

Tylko historyk pamięta przy nowszej niemieckiej noweli i sonacie o ich włoskiem pochodzeniu, do tego stopnia zniemczyć je zdołano. Nowoczesny niemiecki skarbiec nowelistyczny może też śmiało pójść w zapasy z bogactwem zagranicznych zbiorów; co zaś do sonaty, to niemcy ponad wszystkie, muzykę uprawiające, narody się wznieśli. Układ sonaty, który obecnie poprostu niemieckim nazwać można, wielce ułatwił niemcom niezaprzeczone zwycięstwo w dziedzinie sztuki instrumentacyjnej; włosi i francuzi sądzą wprawdzie jeszcze, że w dramatycznej i kościelnej muzyce śpiewanej o palmę pierwszeństwa z niemcami współubiegać się mogą; przed klasykami jednakże, genialnymi twórcami sonat, przed wielkimi mistrzami kwartetu i symfonii kornie czołem biją.

Nowela i Sonata — postacie to nowoczesne.

Wiadomo wprawdzie, że jeszcze za czasów Mojżesza starożytni egipcyanie nowele układali; wiadomo, że istnieją prastare chińskie opowieści i że wreszcie „Złotego Osła“ Apuleusza, na równi z niejedną poetycką powiastką średniowieczną, imieniem noweli ochrzcićby można. Lecz przecież i muzykę uważamy za sztukę nowoczesną, pomimo, że starożytni Grecy dostatecznie nas i siebie jakąś muzyką, która jednak muzyką nie była, dręczyli; stąd prawo do nazwania noweli wytworem artystycznym nowożytnego pokroju. Sonacie zaś nikt chyba nowożytności nie zaprzeczy. Są więc obie nowoczesne, lecz bynajmniej nie jednego wieku. Opowiadanie poetyckie i anekdota przekształcają się w nowelę w XIV-tym stuleciu, czysty zaś frazes instrumentalny przeistacza się w formę sonaty w XVII-tym dopiero stuleciu.

Ale czem jest właściwie nowela? Co rozumieć pod nazwą sonaty? Oba te pytania zaprzątają umysł krytyczny estetyków; często na nie odpowiadano a dotychczas niema na nie odpowiedzi. A artyści tworzą, miłośnicy sztuki rozkoszują się nowelami i sonatami, o nic nie pytając więcej. Zamiast istotę obu naukowo wyśledzić, oddajmy głos historyi — niechaj ona opowiada.

Przedewszystkiem zajrzyjmy do kolebki noweli, w ulotnych kreskach przedstawmy sobie obraz, przez Winterhaltera nader starannie wymalowany, a jako miedzioryt wszędzie znany i ceniony. Widownią — ogród willi w pobliżu Florencyi. Grupa pięknych młodych pań i panów spoczywa na murawie w cieniu krzaków i drzew — to towarzystwo zbiegów. Bo w Florencyi szerzy się zaraza, a młodzież tu szuka schronienia, by zapomnieć o strasznej klęsce i do życia świeżej zaczerpnąć odwagi. Opowiadają sobie historyjki, a to podług pierwotnie skreślonego planu. Jedna z dam, jako królowa dnia, w wieniec laurowy ustrojona, wybiera temat, na którego tle każdy powiastkę wysnuć, lub przypomnieć sobie jest obowiązany. Złotawy odcień, znamionujący zaranie Odrodzenia, otacza czarującą aureolą wesołą tę grupę; niebo Florencyi, niebo XIV-go wieku jaśnieje nad kwiatkami, drzewami i dziewicami; — to Boccacio; jego to poetycka wyobraźnia stworzyła tę grupę dziesięciu lekkomyślnych osób, opowiadających sobie przez dziesięć dni z rzędu, dziesięć razy po dziesięć nowelek — to Boccacio w swoim Dekameronie.

Tu, zadania każdego takiego dnia i sposób, w jaki je rozwiązywano, jaknajnaiwniej charakter noweli uwydatniają. Królowa zadaje jakiś temat np.: wskazać, jakby to zręcznie rzuconem słówkiem odpowiedzieć na czyjeś przycinki, albo: jak prędko powzięte postanowienie usuwa niebezpieczeństwo i zmartwienie, jak stała miłość pomimo wszystkich przeszkód jednakże w końcu zwycięża, albo, ile smutku i cierpień uczucie to kochankom przynosi i t. p. Jest to więc zawsze: albo jakaś utarta już prawda, która w nowy sposób potwierdzoną zostaje, lub zagadka psychologiczna, która rozwiązaną, paradoks wreszcie, który z pozornej swej sprzecznej obłoki obnażonym być powinien; a tego wszystkiego dokonać należy nie drogą naukowego dowodzenia, lecz za pomocą barwnej dialektyki faktów spełnionych, przez zręcznie powiązaną akcyę opowiadania, która nas nieznacznie do niespodzianego, a jednak przekonywającego rozwiązania doprowadza.

Taką była istota noweli przed 500 laty — taką jest i za naszych dni. Oto właśnie przyczyna, dla której owa setka pierwotnych nowelek, która cały program nowelistyki, jakby hasło na wstędze dwiema literami wyhaftowane, przed sobą nosi, że owa to setka pierwotnych nowelek dotychczas niewyczerpane źródło dla studyów estetyka stanowi. Młodym paniom i młodzieńcom naszego wieku słusznie wzbrania się czytania tych historyjek, które młodzież florencka w XIV-tym stuleciu głośno sobie opowiadała. Wyuzdana zmysłowość epoki Odrodzenia iskrzy się i płonie tam żarliwie z każdego niemal zdania; nowele te — to ujemne obrazki obyczajowe. Są one zarazem tendencyjnemi opowiadaniami, bajarz bowiem, sarkazmem, aż po brzegi, napełnioną czarę ciska na zdemoralizowanych mnichów i klasztory swego czasu.

Na samym więc początku nowela przedstawia się nam jako mała, często prosta tylko opowieść i służy więcej dla rozweselenia niż ku artystycznemu wydoskonaleniu; przytem: lekka, zdrożna, płocha, złośliwa w późniejszym czasie tych znamion nie zawsze pozbyć się umiała.

A jednak przeczuwano, że forma tych swawolnych, miniaturowych opowiadań do ujęcia czegoś wyższego powołaną będzie.

Głoszą, że Petrarka, w sędziwym już będąc wieku, wyuczył się na pamięć noweli Boccacia o „Gryzeldzie“, tak mu się podobała; przetłomaczył ją na język łaciński, a ostatnie, ręką jego skreślone wiersze, to list, przy którym przekład ten autorowi przesyła. A był to surowy stary Petrarka, zarzu-

---

Potem gotowanie kawy, wybornej kawy, ważna sprawa!.. kawy, którą rozgniatano w głębi miski blaszanej i cedzono następnie przez czerwony pas wełniany od mundura. Ale bywały także i dnie czarne, przykre, spędzane daleko od zamieszkałych okolic, pod okiem nieprzyjaciela. Wtedy nie było ogni, ani kawy, ani śpiewów, ani zabaw. Cierpiało się nieraz dyabelnie z braku snu, z głodu i pragnienia... ale to nic nie szkodzi!... lubiło się tę egzystencyę, utkaną z niespodzianek i awantur, lubiło się tę wojnę, z potyczek złożoną, tak uwydatniającą odwagę osobistą, zabawną, jak zdobycz wyspy, przez dzikich zamieszkałej, wojnę, której śmiesznymi epizodami były rabunki, kradzieże na wielką skalę, włóczęga, kradzieże drobne, a często tak sprytne i dowcipne, że opowieści o nich rozśmieszały nawet samych generałów.

— A!... — rzekł Prosper, poważniejąc nagle — tutaj nie tak, jak tam... tu inaczej się biją!...

Na nowe pytanie ze strony Maurycego opowiedział o wylądowaniu ich pułku w Tulonie i o trudnym marszu aż do Luneville. Tam dopiero dowiedzieli się prawdy, tam im opowiedziano o Wissenburgu i o Fröschwiller. A potem... on już dobrze sam nie wiedział i w głowie mu się nazwy miast mieszały. Nancy brał za Saint Michel, a Saint Michel za Metz. Dnia czternastego musiała się tam odbyć wielka bitwa, cały horyzont był jakby w ogniu, ale on sam widział tylko czterech ulanów zaczajonych za płotem. Szesnastego bito się znowu, huk armat rozlegał się od szóstej rano i mówiono mu także, że ośmnastego taniec się na nowo rozpoczął jeszcze gorętszy, jeszcze straszniejszy. Ale on już tego nie wie, bo strzelców tam nie było, dlatego, że szesnastego pod Gravelotte, właśnie w chwili, gdy czekali na rozkaz do boju, wyciągnięci w szeregi wzdłuż jakiejś drogi, cesarz, pędząc otwartym powozem, zabrał ich po drodze i kazał się eskortować aż do Verdun. Także niezabawna robota!... czterdzieści dwa kilometry galopem przy ciągłej obawie wpadnięcia na prusaków.

— A Bazaine?... — zapytał Rochas.

— Bazaine?... powiadają, że był dopiero kontent uczciwie, jak się pozbył cesarza z głowy!...

Ale porucznik chciał wiedzieć, czy Bazaine idzie naprzód, czy przyjdzie tu!?... Prosper za całą odpowiedź niewyraźny zrobił gest... Kto to może wiedzieć?... Oni, strzelcy, od szesnastego całe dnie spędzali w marszach i kontrmarszach w deszcze ulewne, na rekonesansach, awangardach i różnych innych awanturach i nigdy nieprzyjaciela nie spotkali. Obecnie stanowią część armii chalońskiej. Oni, to jest pułk Prospera, jeszcze dwa inne pułki strzelców francuskich i jeden pułk huzarów tworzą dywizyę rezerwy kawaleryi, zostającej pod wodzą generała Margueritte, o którym poczciwy chłopiec z prawdziwą czułością wspominał.

— To ci jest dopiero tęgi chłop!... a bestya odważna, jak lew!... Ale na co się to zdało... kiedy dotychczas nic mu więcej do roboty nie dano, ino błoto końskiemi nogami misić!...

Przez chwilę panowało milczenie. Potem Maurycy rozmawiać zaczął o Remilly, o wuju Fouchardzie i Prosper bardzo żałował, że niema czasu iść się przywitać z Honorym, podoficerem z artyleryi, którego baterya musiała stać o jakie pół milki ztąd, z drugiej strony drogi, prowadzącej do Laon. Ale koń gdzieś zarżał i Prosper się zerwał, pobiegł zobaczyć czy Zefirowi czego nie brakuje. Powoli żołnierze wszelkiej broni i wszelkich stopni napełniali oberżę, żądni o tej godzinie kawy czarnej i koniaku. Ani jeden stół nie był już wolny i przyjemne dla oka robiła wrażenie ta mieszanina jaskrawych mundurów na zielonem tle pnącego się wina, jasnem słońcem oświetlonego. Bouroche, doktór pułkowy, właśnie

cający podówczas własne swoje sonety i ceniący jedynie epiczny swój poemat „Afrykę“.

Nikt o młodości swojej zupełnie zapomnieć nie jest w stanie, choćby nawet jaknajpóźniejszej doczekał się starości. Kobieta królowała w kole opowiadaczy i opowiadaczek nowelistycznych; kobiety i teraz w noweli główną odgrywają rolę. Wiele osób mniema, że nowela koniecznie jakieś miłosne koleje opowiadać musi. Poważni ludzie często z zasady noweli nie czytują; według ich zdania to błahostki, stosowne dla dziewcząt i młodzieńców, dla towarzystwa takiego, jak owo zebranie florenckie, którego wszyscy członkowie młodością i pięknością, lecz bynajmniej powagą się nie odznaczali.

Inaczej rzecz się ma co do początków sonaty. Pisanie sonat było sztuką męską, sztuką, która do zakresu muzyki kościelnej sięgała. Był wprawdzie i czas, kiedy sonatę, na fortepian pisaną, za muzykę damską uważano — z sonat Mozarta więcej tryska zapału miłosnego, niż z niejednej noweli, która jaknajszczęśliwszem zawarciem związku małżeńskiego, lub najstraszniejszą śmiercią, cierpieniami miłosnemi spowodowaną, się kończy. Lecz te czasy minęły. Sonata na nowo zmężniała, przybrała charakter surowy, patetyczny i niejedna młoda kobieta z zasady sonat — nie grywa, sądząc, że to uczona, nie dla rozrywki, a dla katowania ludzkości wymyślona muzyka.

Przenieśmy się myślą w czasy pierwszej młodości sonaty. Cofamy się o całe trzy długie wieki, — zstępujemy w 80-te lata wieku XVII-go. W pałacu kardynała Ottoboni w Rzymie zbiera się w każde popołudnie poniedziałkowe wybrane towarzystwo dla usłyszenia najświeższych sonat wielkiego Correlli'ego. Mistrz gra na skrzypcach z akompaniamentem drugich skrzypiec i basisty, podczas gdy fortepian dopełniającymi akordami wzmacnia harmonię. Jestto bardzo nieśmiała muzyka, skromniutka co do formy, przejrzysta co do budowy, bezpretensyonalna, bez techniki wirtuozów, ale muzyka inteligentna, dystyngowana i szlachetna. Cztery części składają całą tę sonatę. Z początku uroczyste Praeludium, potem, żywsza trochę Allemande, następnie melodyjna Sarabanda i nakoniec prędka Courrante czyli Giga. Muzyka to więc taneczna, ale wyszlachetniona, wystylizowana. Artyści grają nie jedną a sześć takich sonat, a znaczenie każdej części przy pomocy kontrastów na jaw wychodzi. W pierwszej przebija się tło rzewne i tęskne, druga jest żartobliwa, trzecia poważna, czwarta radosna, piąta biedzi się myślami, szósta miota piorunami. Jedność tonu i nastroju — to węzeł, który wszystkie cztery części każdej z tych sonat łączy. Ale nastrój ten ciągle się potęguje i od jednej do drugiej rozwija się części. Weźmy np. sonatę o charakterze żartobliwym. Niezbyt poważna powaga w Praeludium wzbudza w nas oczekiwanie czegoś wesołego. W Allemandzie dwoje skrzypiec nuci sobie w ostrych silnych ósemkach wesołe parlando — niby duet opery komicznej. Basetla — stary mruk, parlando to ciężkiemi, głębokiemi przeplata ćwiartkami. Sarabanda nagle hamuje filuterne te wybryki i tęskną swoją melodyją nastraja słuchaczy tęskno i rzewnie. Mimo to, że liryczny ton dobroczynnie chwilowo oddziaływa, Giga, część już ostatnia, zwalcza go i staje się panią sytuacyi. Zuchwałymi skokami przypomina podwójnie prawie wesołość Allemandy; skrzypce porywają za sobą, opór stawiającą basetlę i ciężka basetla w szybkich staccatach, bez tchu, stara się dotrzymać placu. Cantilena zatem Sarabandy miała na celu przez kontrast podwyższyć wesołość Gigi. Humor tedy zostaje zwycięscą.

Jak sonata, tak i nowela mają jeden temat nastroju duchowego — temat myśli lub psychologicznego problematu. Temat ten zostaje przeprowadzony, problemat rozwiązany, w noweli — przy pomocy dialektyki działania, w sonacie — przez siłę przeciwstawień, paraleli, stopniowania.

Co do charakteru epicznego, to więcej niż sonatę, znamionuje on nowelę. Jednakże i najczystsza muzyka instrumentalna posiada epiczną deklamacyę. Widzimy to jasno przy porównaniu dwóch największych klasyków sonaty: Haydna i Beethovena. Haydn w swoich sonatach, kwartetach i symfoniach prawie zawsze ma coś do opowiedzenia. Dlatego to zaczyna nieśmiało, cicho, niby bajarz: „Był sobie niegdyś“. I kiedy w przeprowadzeniu największych frazesów przechodzi do malowania przeciwnych sobie uczuć, kiedy przedstawia walkę namiętności, to i tu zachowuje swoję epiczną objektywność, i tu daje odczuć, że on sam, on — kompozytor w starciach tych nie przyjmuje udziału, a tylko po mistrzowsku, z przejmującą prawdą o takich walkach wewnętrznych u osób trzecich opowiada. Dlatego błogi spokój i zgoda opowiadania panują tu nad wszelkiemi walkami dusz i kto Haydna nie pojmuje, jako epika, ten go wogóle nie pojmuje. Beethoven — to zupełnie co innego. Gwałtownymi lub tajemniczymi akordami już na początku swoich utworów zwiastuje, że bezpośrednio do walki namiętności chce nas wciągnąć, że nie ma zamiaru w gawędzie opowiedzieć o starciu i zwycięstwie, nie, — on będzie walczył przed okiem naszego ducha, zmusi i nas do walki. On dramatyzuje sonatę i symfonię, ale i te dramatyczne sonaty Beethovena zbliżone są do noweli.

Wracajmy jednak do Rzymu, do Correlli'ego, do pałacu kardynała. Mistrz bardzo poważnie traktuje swoje nieśmiałe sonaty. Kilku słuchaczy podczas gry pozwala sobie na gawędkę, — mistrz odkłada skrzypce, a zapytany o przyczynę, grzecznie odpowiada, iż boi się grą rozmowie przeszkodzić. Wykonywa on te skromne epiczne frazesy z największem wewnętrznem wzruszeniem, twarz mu pała, oczy się iskrzą. On odczuwa, że ta, wobec wielogłosowych frazesów ówczesnych śpiewów kościelnych, nic nieznacząca muzyka, nową w sztuce zwiastuje epokę.

Włosi pisali i kościelne sonaty, w których fugi i inne wielogłosowe frazesy, tak jak Praeludium, Allemanda, Sarabanda i Giga ze sobą się łączyły. Sonaty grywano podczas sumy i publiczność skrzypków-wirtuozów tak wówczas w kościele, jak dzisiaj na koncercie, podziwiała. Tak tedy młodociana sonata służyła

---

usiadł obok Rochasa, gdy wtem wszedł Jan z rozkazem:

— Poruczniku!... kapitan będzie na pana czekał o trzeciej na jakąś naradę służbową.

Rochas skinieniem głowy dał znak, że się stawi na czas oznaczony, a Jan nie odszedł zaraz, lecz uśmiechnął się do Maurycego, który mu podał papierosa. Od owej sceny w wagonie, między tymi dwoma ludźmi nastąpiło jakby zawieszenie broni, epoka studyów nad sobą wzajemnych, coraz większą w nich dla siebie życzliwość budzących.

Prosper wrócił i niecierpliwił się.

— Zjem ja co — mówił — kiedy mój porucznik nie wychodzi z tej budy... Głupia rzecz... Cesarz może sobie nie wrócić, aż na noc!...

— Słuchajno — pytał Maurycy, którego ciekawość się budziła — a może to właśnie wieści o Bazainie przywieźliście?...

— Może być... coś tam o nim gadali w Monthois.

Wtem ruch jakiś na zewnątrz się zrobił i Jan, który stał we drzwiach altanki, odwrócił się mówiąc:

— Cesarz!...

W mgnieniu oka wszyscy się zerwali. Pomiędzy topolami na szerokim gościńcu białym ukazał się pluton stu gwardzistów w swych zbytkownych i jeszcze zupełnie świetnych mundurach błękitnych, z wielkiemi słońcami złotemi na błyszczących kirysach. Potem zaraz za nimi cesarz na koniu w obszernej przestrzeni wolnej, otoczony swym sztabem, za którym pochód zamykał drugi pluton stu gwardzistów.

Głowy się poodkrywały, kilka okrzyków tu i owdzie słyszeć się dało. I cesarz w przejeździe podniósł głowę, ukazał twarz bardzo bladą, wyciągniętą i wychudłą, oczy zamglone, jakby wody pełne. Zdawało się, jakby się obudził z jakiegoś odrętwienia... Na ustach jego ukazał się blady uśmiech na widok tej wesołej oberży w słońcu skąpanej. Na okrzyki odpowiedział wojskowym ukłonem.

Wtedy Jan i Maurycy usłyszeli wyraźnie jak doktór Bouroche, wybadawszy Napoleona okiem zdolnego praktyka, mruczał sobie pod nosem:

— O źle!... już trupeczkiem śmierdzi!...

Potem w jednym wyrazie streścił całą swoją dyagnozę:

— Djabli biorą!...

Jan w swym zdrowym rozsądku potrząsnął tylko głową: podłe nieszczęście dla armii taki wódz naczelny! W dziesięć minut później, uścisnąwszy rękę Prospera i pożegnawszy Jana, szczęśliwy, że mu się śniadanie udało, Maurycy poszedł palić dalej papierosy na wolnem powietrzu w alei i odchodząc uniósł w swej pamięci obraz tego cesarza, tak zmarniałego i niewyraźnego, jadącego niewiadomo gdzie, na koniu, lekkim klusem, niby na spacer Był to konspirator, marzyciel, któremu brak energii, w chwili działania. Mówiono nawet, że jest on bardzo dobry, bardzo zdolny do wielkich i szlachetnych idej, bardzo przytem uparty przy swej woli, wiele mówić nie lubi. Był on też bardzo odważny, gardził niebezpieczeństwem, jak fatalista, zawsze gotów na to, co mu los przeznaczył. Ale teraz zdawało się, jak gdyby jakaś głupia ogarniała go bezwładność w chwili wielkich przesileń, jak gdyby umysł jego i wola były sparaliżowane w obec spełniających się faktów, jak gdyby się czuł niezdolnym do stawiania jakiegobądź oporu fortunie, która mu sprzyjać przestała. I Maurycy pytał się sam siebie, czy to nie jest jakiś stan psychologiczny, specyalnie wywołany, czy też tylko zwiększony w swych objawach przez cierpienie; czy choroba, na którą Napoleon widocznie cierpiał, nie była przyczyną tego braku stanowczości w decyzyach, tej nieudolności, z każdą chwilą wzrastającej, jaką okazywał od początku kampanii. To jedno tłómaczyłoby

kościołowi. podczas gdy nowela wcale charakteru kościelnego nie nosiła, — później nowela staje się coraz cnotliwszą a sonata coraz więcej świecką; nakoniec sonata kościelna znika. Surowe jej formy zlewają się ze swobodniejszemi formami suity w wieku XVIII.

Nowela i sonata lubią być podziwiane w szczupłych tylko towarzyskich lub domowych kółkach. Sonata przez wielu i przed wieloma grana, traci nazwę sonaty i staje się symfonią. I nowele nie znoszą licznego audytoryum. Lektor nie jest w stanie uwydatnić ani mezzo-voce epicznego tonu, ani ritardando i accelerando, nie-mógłby oddać, jak należy, wszelkich finezyj budowy, trudnoby mu było dać zapanować owemu parlando, które jest duszą dobrej deklamacyi noweli. Dramat, epopeję przed tysiącami można czytać, — dla noweli stu słuchaczy — za wiele. A i dla sonaty sala koncertowa nieodpowiedniem jest miejscem. Zapewne niejeden mistrz zachwycał i pociągał tłumy przez odegranie sonaty! Ale niechże kto zapyta takiego mistrza, czy tejże sonaty o wiele prawdziwiej w małem kółku lub w samotności nie odtworzy? Odpowiedź będzie potwierdzającą. W wielkiem kole nie uda się nigdy być na wskróś indywidualnym, niemożebnem jest dowcipnie gawędzić, z serdecznością opowiadać, marzyć i dumać, kiedy przed nami stoją tłumy. Stosuje się to do sonaty i do noweli. Wielka symfonia nie jest już sonatą, ona sonatę przerosła, tak jak dramat i romans przerosły nowelę. Tylko na formie sonaty osnutą jest symfonia, równie jak i forma noweli jest podstawą romansu.

(D. c. n.)

„CZŁOWIEK-ZWIERZĘ“

przez Jerzego Brandesa.

(Ciąg dalszy).

III.

Umysłowo-wychowawcze prądy w Europie tak długo znajdowały się pod przeważającym wpływem chrześciańsko-spirytualistycznego kierunku, że częstokroć spotkać się można z poglądem, który stosunek płciowy uważa za poniżający godność człowieka. Dziś jeszcze znaleść można tego rodzaju poglądy nawet u ludzi wskróś klasycznego pokroju. Ewolucya nowoczesnych stosunków społecznych spowodowała, że ludzie najróżnorodniejszych przekonań odsunęli się równie daleko od greckiego poczucia jedności na polu teoryj życiowych, dotyczących swobody i zdrowia. Przypominam sobie z młodości swojej filozoficzną rozmowę. jaką z pewnym Francuzem, przyjacielem moim, prowadziłem właśnie na temat płciowego stosunku, który i jego oburzał. Niechęcią i gniewem napawało go, że Stwórca wszechrzeczy nie znalazł innej delikatniejszej, szlachetniejszej formy dla wzajemnego połączenia się płci. Jeszcze słyszę brzmienie jego wykrzyku: „Pourquoi cette insulte“....

Ta sama myśl straszy w ostatniej powieści Maupassanta, „L'inutile beauté“ w kilku ustępach. W utworze „Un cas de divorce“ powiada bohater o swej młodej małżonce, że do tego doszedł w wspólnem z nią pożyciu, iż nie może jej się więcej dotknąć ręką lub ustami, bez uczucia szczególnej jakiejś odrazy, nietylko wyłącznie w stosunku do niej, ale wogóle przed każdym nawet uściskiem, który wszystkim delikatniejszym istotom wydaje się czemś, czego się wstydzić trzeba, z czem kryć się należy, o czem szepta się cichaczem i nie bez zarumienienia.

A kiedy w rzeczonej noweli, która stanowi tytuł całego zbioru, przychodzi do rozmowy o niegdyś pięknej, dystyngowanej kobiecie, której piękność z powodu wielu porodów ucierpiała, i słyszymy uwagę: „Jak temu zaradzić; to bieg natury“, woła natenczas młody mężczyzna, który zdaje się przemawiać imieniem autora: „Natura! Powiadam ci, że natura jest naszym wrogiem, że my przeciwko naturze wciąż walczyć musimy; ona nas sprowadza zawsze z wyżyn — do zwierzęcia“. Poczem następuje wywód, że wszystko, co na świecie czyste, piękne, eleganckie, idealne nie Boga, lecz człowieka jest dziełem. „My jesteśmy tymi, którzy dzieło stworzenia opiewając, tłómaczymy je, jako poeci podziwiamy, jako artyści idealizujemy, jako ludzie nauki wyjaśniamy, udzielając przyrodzie powabu i piękności, coś tajemniczego, a uroczego składając na jej łonie. Pomyśl tylko o rozradzaniu się! Możnaż sobie wyobrazić coś wstrętniejszego i bardziej prostackiego.... Zdaje się, jakoby natura w wybuchu złośliwego cynizmu — wszystkim usiłowaniom mężczyzn, by swój stosunek do kobiet uposażnić i uszlachetnić, raz na zawsze nieprzezwyciężone położyła tamy. Człowiek jednak wynalazł miłość, co, jako odpowiedź dla podstępnego i pogardą darzącego bóstwa, nie jest występkiem“.

Odnośnie do tego stosunku uważa zatem Maupassant naturę za wroga. U Tolstoja jest ona najbliższym celem, ideałem za nami już wprawdzie leżącym, do którego jednak wypada powrócić. U niego walka, jaką wytoczył zmysłowemu żywiołowi w życiu, jest tylko szczegółowym przypadkiem zastosowania w praktyce światopoglądu, podług którego cywilizacya jest złą i fałszywą: pieniądze, wspaniałe budowle, udoskonalenia techniczne, dostatki, wszelkie życie prócz wieśniaczego i rzemieślniczego, to wszystko pełne zła. Dość dawno już zarzucił on naukę, ryczałtem ją potępiwszy. Obecnie przyszła kolej na sztukę. Nie widział on nigdy w pieniądzach kondensacyi pracy, lecz kondensacyę nadużyć i gwałtów. Obecnie w płciowym stosunku upatruje on objaw zwierzęcy, poniżający. Przemyśliwał nad tragicznością i komicznością i doszedł do tego, że człowiek jest uszlachetnionem nieco zwierzęciem, o którego pochodzeniu trudno zapomnieć, zupełnie zaś zatrzeć jego śladów nie można. Cywilizacya jest dla niego potęgą, która naszej zwierzęcości dozwala krzewić się i rozrastać bujnie. W tej jego z wiekiem wzrastającej odrazie do wszystkiego, co naturalne, ludzkie, dopatrzyć się nietrudno prócz religijności rosyjskiej — owego wzroku starczego, który się też na skandy-

---

wszystko!... Mały kamyczek w ciele jednego człowieka... i całe państwa padają, i całe trony się walą!...

Wieczorem w obozie, po apelu, nagle jakieś wielkie ożywienie zapanowało. Oficerowie biegali tu i owdzie, roznosząc rozkazy, zapowiadające wymarsz na rano, na godzinę piątą. I było to znowu dla Maurycego nowe zdziwienie i nowy niepokój, zrozumiał bowiem natychmiast, że jeszcze raz wszystko się zmieniło. Już armia nie zwija się pod Paryż, ale idzie na Verdun, na spotkanie z Bazainem. Pogłoski obiegały o depeszy od tego marszałka, odebranej jakoby w ciągu dnia i donoszącej, że jego korpus dokonywa ruch wsteczny a młody żołnierz przypomniał sobie zaraz Prospera i tego oficera od strzelców afrykańskich, którzy zapewne przywieźli z Monthois kopię tej depeszy. A więc cesarzowa rejentka i rada ministrów zwyciężyły w obec ciągłych wahań marszałka Mac Mahona i w tem przerażeniu na myśl powrotu cesarza do Paryża, powrócono uparcie do tego samego projektu popchnięcia armii naprzód w wątłej nadziei ocalenia dynastyi. I ten Napoleon nędzny, ten biedny człowieczyna, dla którego nie było już miejsca w jego własnem cesarstwie, ma być porwany przez ten wir i uniesiony, jak niepotrzebny i zawadzający przedmiot, pomiędzy bagażami jego własnych wojsk, skazany na wleczenie po za sobą ironii swego domu cesarskiego, swoich stu gwardzistów, swoich powozów, koni, kucharzów, swoich furgonów z rondlami srebrnymi i winem szampańskiem, całej tej pompy swego płaszczu koronacyjnego w pszczoły zahaftowanego, którego trenem zamiatać musi krew i błoto wielkich gościńców swej własnej klęski.

O północy Maurycy jeszcze nie spał. Bezsenność gorączkowa i złowrogie sny kazały mu się przewracać z boku na bok pod namiotem. Nareszcie wyszedł z niego i na chwilę lżej mu się zrobiło, gdy się poczuł na nogach w świeżem chłodnem powietrzu pod silnemi podmuchami wiatru.

Niebo pokryło się gęstemi chmurami, noc zrobiła się bardzo ponura, jak nieskończone morze ciemności, na którem tylko połyskiwały tu i owdzie jak gwiazdy, gasnące ognie frontowych linij obozowych. I w tym spokoju czarnym wśród tej ciszy przygnębiającej czuć było powolny i równy oddech stutysięcy ludzi, śpiących na tem polu. Wtedy smutek Maurycego dziwnego jakiegoś doznał ukojenia, w serce jego wstąpiło braterstwo i przepełniło je czułością jakąś, wyrozumiałą dla tych wszystkich żywych istot tu uśpionych, z których niezadługo zapewne tysiące całe spać będą snem śmierci. Poczciwi, dobrzy ludziska!... Karności wojskowej nie znają, kradną i piją, ale ileż już cierpień przebyli i ile przyczyn, to zło tłómaczących, wśród tego załamania się narodu całego. Sławy pełnych weteranów dawnych wojen już jest bardzo niewielu i giną oni tu wśród wojsk zbyt młodych, niewyćwiczonych, niezdolnych do dłuższego oporu. Te cztery korpusy, utworzone i ukonstytuowane na prędce, bez istotnego związku między sobą, to armia rozpaczy, stado wysłane na rzeź ofiarną na przebłaganie gniewu przeznaczenia. Armia ta pójdzie na szczyt swej Golgoty, płacąc za wszystkich strumieniem czerwonym swej krwi żywej, i stanie się wielką, przez samą wielkość klęski i zniszczenia!...

I Maurycy w chwili tej, wśród cieniów drżących wieczora, poznał istotnie swój wielki obowiązek. Już teraz nie ulegał próżnej i fanfarońskiej nadziei odniesienia zwycięstw, owym legendowym podobnych. Ten marsz ku Verdun, to jest marsz na śmierć... i on go przyjmował z rezygnacyą silną i żywą — bo przecież umrzeć trzeba.

(Dalszy ciąg nastąpi).

nawskiej objawił północy. Odraza przed u-życiem, przed spotęgowaniem funkcyj zwierzęcych przybrała u niego ostatecznie formę odrazy; wstrętu przed bestyą w człowieku.

Zwracając się kolejno od książki do jej autora, a od niego do szerokiej publiczności, która tonie dlań w zachwytach, doszliśmy do następujących spostrzeżeń i uwag.

Charakterystycznem jest zjawiskiem, jak bardzo ludzkości jeszcze dziś imponują moraliści. W krwi naszej zdaje się tkwi jeszcze tyle pozostałości z tradycyjnego, biblijnego wychowania, że mimowolnie sądzimy: tam, gdzie mowa o moralności, mieć musi miejsce jakaś nader doniosłej wagi kwestya. Wszak mieli Rosyanie znakomitego, a tak sympatycznego pisarza Turgeniewa, światowca, który bez wszelkich pretensyj moralno-kaznodziejskich wydawał jedno arcydzieło poetyckie za drugiem. Nie wmawiał on w siebie, że przez to rodzaj ludzki zreformuje. Był tylko artystą, z pewnemi słabostkami, ale i wielkiemi cnotami; prawdziwy „gentleman". Po nim przychodzi z kolei Tołstoj. Za młodu hulaszczy oficer, staje się w dojrzalszym wieku wielkim moralizującym poetą, z roku na rok coraz namiętniejszym moralistą, na koniec Janem Chrzcicielem. Tworzy sobie własną religię, moralizuje, i wygłasza przed rzeszą kazania; przywdział na się chłopską, włosistą sukmanę — i w tym uniformie daje się fotografować. Brodzie dozwala zarastać, czesząc zwyczajem rosyjskich wieśniaków włosy — długim od czoła przedziałem. Żyje na swojej włości w rozmyślaniach i zajęty ręcznemi pracami. Czasem znów staje się podobnym do wiejskiego proroka, dozwalając by przejezdny fotograf uwiecznił rysy jego twarzy, którym poważnie pojęta a sumiennie wykonywana praca szczególne jakieś nadała piętno. Chodzi czasem za pługiem, ciągnionym starodawnym zwyczajem przez poczciwego siwosza; rozmarza się wtedy, bo wmyśla się w wyśniony stan natury, wolny od wszelkiej cywilizacyi i od — własnej jego rezydencyi, leżącej w pobliżu, następnie zaś każe przybywać Riepinowi, by mu do portretu pozować, mającego jego powrót do natury wyobrazić.

Różnica, jaka między nim a historycznym Janem Chrzcicielem zachodzi, jest zatem dość wyraźna. Jak wiadomo, ten ostatni nie posiadał żadnej rezydencyi, przez co mu o wiele łatwiej przyszło zerwać całkowicie z cywilizacyą. Powtóre, wdziawszy na się włosiennicę, nie dałby się w niej fotografować. Nie dlatego, iż podówczas żadnych nie było fotografów, lecz poprostu, ponieważ nigdy nie wpadłoby mu na myśl, jak też na obrazie wyglądać będzie.

IV.

U zenitu swojej twórczości, uderza zatem Tołstoj na stosunki, które człowieka dzisiejszej doby uczyniły ludzkiem — zwierzęciem. Gdyby to tylko było w jego mocy, chętnieby wytępił do szczętu bestyę — w człowieku.

Jest coś szczególnego w tej terminologii: „bestya", „zwierzę". Wszak to wyraz na wskroś starochrześciański. Pamiętamy wszyscy dobrze ów żywy obraz zwierzęcia, jakiśmy ongi widzieli w Objawieniu św. Jana: „I wstąpiłem na piasek morski i ujrzałem z głębin morza wynurzające się zwierzę, które miało siedem głów i dziesięć rogów, a na rogach swoich dziesięć koron, a na głowach swoich wypisane słowa bluźnierstwa. A zwierzę, które ujrzałem, podobne było panterze, a nogi jego były nogami niedźwiedzia, a pysk jego srogiego lwa paszczęką.... A siłę miało i moc smoka....; a oni padli przed niem na kolana w kornej prośbie i rzekli: „Żali kto równy jest zwierzęciu? albo kto z niem równać się może". Jak wiadomo, dla ówczesnych chrześcian zwierzę było symbolem światowej potęgi Rzymu. Wiemy o tem z wszelką pewnością. Allegorya wyziera jeszcze wyraźniej z mistycznej liczby 666 (wiersz 18), wyrażającej podług składu hebrejskich liter, które przedstawiają wartości liczebne, imię Nerona: Nero Kaesar. W szerszem jednak znaczeniu, dla pierwszych chrześcian zwierzęciem było pogaństwo, jako takie i jako przedstawiające wrogą potęgę, wszystko, co niechrzczone, wszelki zatem w człowieku pierwiastek „zwierzęcy", który wypadało pokonać. Innemi słowy, by użyć wyrażenia literackiego, omawiane zwierzę nie istniało w rzeczywistości, szło tu o zwierzę człowieka.

W tym samym mniej więcej duchu wystąpił w r. 1870 Aleksander Dumas, kiedy nawiązując do przytoczonego ustępu biblijnego, opowiadał o swoich usiłowaniach przedstawienia analizy człowieka w wielkim tyglu Paryża. Utrzymuje on, że człowiek, nie wyjąwszy nawet Paryżanina, posiada pewien, bodaj niezwykle drobny ułamek duszy, podobnie niejako, jak 60-krotne rozcieńczenie zawierać jeszcze będzie choćby jeden atom dawnego płynu. I opowiadał on, jak z oparów tygla widział tworzące się męskie i kobiece postacie, gdy w tem powstało gwałtowne wrzenie, i ujrzał z kotła, nie z jego szumowin lub par, lecz z głębi spoczywających w nim materyałów, wynurzające się olbrzymie zwierzę, które miało siedem głów i dziesięć rogów, a na tych rogach dziesięć koron, a na głowach włosy z metalowym połyskiem, a barwą alkoholu. Zwierzę to podobne było panterze, a nogi jego były nogami niedźwiedzia, a pysk jego paszczęką lwa. A siłę miało i moc smoka... I zwierzę było okryte purpurą i złotem i drogimi kamieniami, a w białych swych dłoniach trzymało, podobnie, jak się trzyma filiżankę z mlekiem, puhar złoty, napełniony nieprawością wszelką i bezwstydem Babelu, Sodomy i Lesbosu. Z ciała jego unosił się lekki, upajający dym, po przez którego fantastyczne kłęby przebijała jasność i blask jakiś, jakby który z cherubinów tam się znajdował, a wśród tej mgły przeźroczystej poruszały się tysiące ludzi, wijących się w upojeniu rozkoszy, wyjących z boleści i niknących z lekkim stukiem, jak pękające bańki mydlane, pozostawiając jako ślad swego istnienia kroplę jakiegoś płynu: łzę lub kroplę krwi.

Ale zwierzę nie mogło się nasycić. Stopami swemi miażdżyło ich, pazurami targało na kawały, dusiło w silnych uściskach. A ci, których najbardziej dusiło, uchodzili za wybrańców losu. A siedem głów jego tworzyło wieniec, który do niebieskiego stropu sięgał, a jego siedmioro ust wiecznie uśmiechniętych nęciło purpurą swych warg do płomiennych pocałunków, a u góry ponad dziesięciu koronami błyszczało świetlanemi ognistemi głoskami jedno słowo: Prostytucya. To zwierzę zdaniem Dumasa — to najnowsze ucieleśnienie kobiety. Tem zwierzęciem jest zatem niewieścia płeć wiecznie męskiej żądna, która po tysiącletniej niewoli, uzbrojona w piękność i powaby swoje, mści się na swym dawnym panu, darząc go miłością, która go o zgubę przyprawia lub psuje. Jestto owo zwierzę, które on przeniósł na deski sceniczne, podejmując wielki, choć prostacki symbol: Cezarynę w „La femme de Claude".

W oczach tedy Dumasa, podobnie prawie, jak i Tołstoja, człowieka czyni zwierzęciem w owem biblijnem znaczeniu cywilizacya, obecna fałszywa cywilizacya; ona czyni go tak występnym, jak nawet nie jest zwierzę, zwierzę bowiem rzeczywiste nie jest występnem, a nie byli nimi wedle przypuszczenia i ludzie, póki ulegali — nie tak, jak dzisiejsi — rygorowi i karnemu posłuszeństwu.

(C. d. n.)

TKACZE.

Jak dawniej francuscy — tak teraz najnowsi niemieccy dramaturgowie budzą u nas ogromne zainteresowanie. Przez czas pewien wyłącznym przedmiotem dyskusyi był Suderman. Suderman ci — Suderman la. Tłomaczono go na język polski, przedstawiono go na deskach scen polskich: w Warszawie, Krakowie, Lwowie i Poznaniu, krytykowano go, chrzcząc go mianem artysty — skandalisty, (ilekrotnie go w ogóle mianem artysty darzono). O sztukach jego, o „Honorze" i „Końcu Sodomy" rozmawiają wszyscy wszędzie, podlotki na wzmiankę o wspomnianych dramatach spuszczają oczka, rumienią się, odwracają główkę i — chichoczą. Pocieszcie się, łaskawi czytelnicy, wszędzie dzieje się to samo! Bo społeczeństwo przy końcu XIX wieku mimo wyrafinowanej kultury — a może właśnie z powodu niej — nie znosi — wyrafinowanej prawdy.

Lecz nie o Sudermanie chcę wam mówić ale o innym — manie — o Hauptmanie. W jednym z tegorocznych zeszytów Biblioteki Warszawskiej, nasza znakomita poetka p. Marya Konopnicka poświęciła bardzo obszerny artykuł dramatowi jego „Święto pokoju." Słyszałem też, że cenny utwór jego „Samotnicy ducha" znalazł tłomacza na język polski i nawet miał, czy też ma być na scenie krakowskiej wystawiony. Z obowiązku więc wypada rzucić kilka uwag o nowym utworze Hauptmana, jego dramacie p. t. Tkacze [1]); nowym jest on tylko dla nas, bo w Niemczech już dużo, dużo o tym utworze pisano.

Każdy akt dramatu tego stanowi zamkniętą w sobie całość. Akt I. przedstawia straszną nędzę tkaczy a w perspektywie ogólne ekonomiczne położenie epoki ówczesnej. Autor przepysznie w nim masami porusza. Tkacze — jako typ — przystępują do stołu, każdy z nich swoją robotę oddaje i zamian otrzymuje płacę — z której wyżyć nie może.

Akt II. zaznajamia nas z wewnętrznem życiem jednej rodziny jako przykład wziętej. Przewybornie drobnymi rysami zaznacza autor, jak w tych nędzarzach wraz z uświadamianiem się ich nędzy powstaje przekonanie o absolutnej konieczności — czynu. Szczytem tego aktu jest pieśń tkacka, rytmicznie do wybuchu nagląca. Ale te same drobne rysy pokazują nam, jak dalece mimo całej pozornej buty i dążności do czynu, najwewnętrzniejszą duszę tych biedaków pokrywa gruba warstwa pleśni. Żołdak, rzucający na stół kilka talarów i przynoszący ze sobą flaszkę wódki, wy-

[1]) Gerhard Hauptman: Die Weber, Schauspiel aus der vierziger Jahren, Berlin W. S. Fischer. Równocześnie okazało się wydanie w narzeczu ludowem (plattdeutsch).

daje im się Bogiem. Charakterystyczną również jest scena w której stary Baumert po spożyciu — oddaje kawałek psiej pieczeni, rzadki dla nędzarza przysmak — i boleśnie woła: „Jeśli się już kiedy ma co dobrego, nie można tego zatrzymać....“

Akt III. pokazuje nam powstanie. Początek końca. Widzimy znaczne zaostrzenie się w porównaniu z aktem pierwszym. Tam afektowane wywody Dreissigera, wyzyskiwacza — tu autorytet uzbrojonego żandarma.

W akcie IV. mamy katastrofę — stosunkowo bardzo łagodną. Rozwija się przed nami obraz zdemolowania domu Dreissigera i jego wypędzenie... a przecież mamy wrażenie że te straszne sceny graniczą — z komedyą. Okazuje się tu najbardziej indywidualność Hauptmana. Opierając się pokusie, patosowi śmieszących drobnostek nie poświęca. Dokładnie tu odczuć można, że komizm tych drobnostek, na tle rewolucyi tkaczów, stanowi najgłębszy moment tragizmu, tragizmu polegającego na tem, że ci którzy się zdobywają na zniszczenie mebli i kosztowności i wypędzenie właściciela fabryki nie mają nigdy siły produktywnej, gniewu produktywnego, zdolnego przekształcić słomiany ogień zemsty chwilowej w prawdziwe światło wolności. Akcya tu dochodzi do szczytu. Że ta rota rozbestwiona będzie miała władzę suggestyjną i nad innymi, jeszcze zdala stojącymi — nie ulega wątpliwości — suggestya czynu dokonanego jest najsilniejsza — że ona, wzmocniona tymi nowymi masami potrafi i sile zbrojnej się oprzeć, zdaje się nie ulegać wątpliwości. I gdyby akt V. to tylko nam przedstawiał — otrzymalibyśmy logiczne następstwo wypadków poprzednich. I rzeczywiście dochodzimy tu do tego stopniowania akcyi, które nadzwyczaj artystycznie i z przepyszną zwięzłością rozwija się w scenie między ociągającym się jeszcze tkaczem i żoną jego. Akt ten kończy się wypędzeniem wojska. Zazwyczaj po akcie takim następuje idealne rozwiązanie dramatu. Tymczasem Hauptman z niebywałą śmiałością rozwiązuje akcyę symbolicznie w kulminacyjnym punkcie napięcia i rzecz tak przedstawia że czytelnik mimo zwycięstwa tkaczy ma przekonanie, iż w rzeczywistości ulegli tkacze i że ich zwycięstwo jest właściwie ich ostatecznym upadkiem.

Zdania, czy autor swemu olbrzymiemu a hazardownemu przedsięwzięciu pod tym względem sprostał, mogą być różne, ale próbie tej zawdzięczamy najmagiczniejszą, najlepszą postać dramatu: starego Hilsego, który dałby się przyrównać poniekąd do chóru — w tragedyach starogreckich — i który myśl utworu wyraża w słowach rzuconych w chwili zwycięstwa: dwóch wyrzucicie a dziesięciu ich znowu przyjdzie. Ma on tu na myśli wojsko, który właśnie na nowo strzelać zaczyna.

Niejasnem jest to, że w ostatnim akcie nowy motyw na jaw występuje: motyw religijny. W osobie starego Hilsego rozbija się zmowa tkaczy — nie z powodu degeneracyi wewnętrznej, głodu lub nędzy, lecz rozbija się o walkę dwóch światopoglądów ścierających się od wieków; z jednej strony ziemskie pragnienie szczęścia, z dragiej wyrzeczenie się ziemi dla zdobycia nieba. Jestto błędem, że autor dopiero w ostatnim akcie motyw ten wprowadza, bo zdawałoby się, że go sam za najważniejszy uważa; w takim razie powinien on być przez całą tkaninę przeświecać.

Co do techniki „Tkacze“ są jedną z najoryginalniejszych sztuk, jakie kiedykolwiek pisano. Dramat bez bohatera, przechodzącego przez wszystkie akty, prawie bez osób przechodzących. Dramat bez konfliktu erotycznego, chyba że za taki uważać będziemy krótką sceną między ociągającym się tkaczem Gottliebem a jego rozentuzyazmowaną żoną. Scena ta, kiedy w tej kobiecie wybucha wulkan gniewu z powodu nędzy dzieci — jest największą, najpotężniejssą w całym dramacie i — sit venia verbo — w całej najnowszej dramaturgii. Lecz scena ta znajduje się w akcie piątym a bohaterowie jej przedtem nie występowali. Nie ma też w całym dramacie jakiegoś charakteru — któryby się rozwijał. Formę tę Hauptman stworzył dla pewnego, typowego wypadku — do innego by się z pewnością nie stosowała.

Akcya cała jest tak porywającą, że zapomina się zupełnie o wyżej wspomnianych drobnostkach, które uplastyczniają się dopiero przy bliższem poznaniu utworu. Dlatego zabierając się do czytania „Tkaczów“ lub mając je ujrzeć na deskach scenicznyoh — należy przynieść ze sobą odpowiedne usposobienie. Zwykła publiczność premierowa nie ma go i łatwo podłoży motyw tendencyjny, do przyprowadzenia którego wystarczałaby i rzecz o wiele słabsza. Trzeba do tego nastroju uroczystego — powiązania faktu historycznego powstania tkackiego z olbrzymiemi zagadnieniami i celami ludzkości. „Tkacze“ nie są dramatem socyalnym w zwykłem znaczeniu; są urywkiem z życia ludzkości i to ludzkości cierpiącej.

W. M.

RUDOLF J. KRONBAUER.

PAMIĘTNIKI SEKUNDARYUSZA.

Z czeskiego przełożył Wojciech Szukiewicz.

(Ciąg dalszy).

Trzecia z rzędu siedzi młoda dziewczyna. Ciało jej, ujęte w jesienny, żółtawy kaftanik, smukłe, pełne i nie wiotkie. Są to oczywiście piersi, które dziewczęta zakrywają wstydliwie pod koszulką i przed zwierciadłem, wstydząc się tych drugich oczu w lustrzanej szybie. Twarz zakryta gęstą, nieprzejrzystą woalką. Gładkie lica jej zeszpecone i poorane ospą — ciało niezwykle smukłe i rozwinięte, oblicze szkaradne. Biedaczka, zakrywa jedno, aby uratować drugie. Z całej istoty jej przebija coś nadzwyczajnie miłego i powabnego — był to piękny, niepokalany krzew róży z gęstą koroną, pełną rozwiniętych pączków. Pień ostał się, lecz pewnego poranku mróz zwarzył wszystkie liście i kwiaty.

Względem dziecka tego los postąpił okrutnie. Odebrał rozum, oszpecił twarz.

Oczy moje przebiegły pobieżnie zastęp obłąkanych kobiet. Tu i owdzie spostrzegłem ładną twarz i piękne, wielkie oczy. W szeregach siedzących obok siebie istot, znajdziesz niejedną powabną postać dziewiczą, zdobną, jak zielę kwiatem, pięknem łonem, które zwiędnie i jako kwiat przez nikogo nie wąchany zginie zwolna.

Młode kobiety w zakładach uderzająco szybko starzeją się i wysychają. Nie twierdzę tego, lecz zdaje mi się, że wielką boleść musi im sprawiać szybkie ubywanie ciała na podobieństwo opadania wody. Zastanawiałem się już kilka razy nad tem, dlaczego piękna twarz i pociągająca postać kobiety obłąkanej tak rzadko, przynajmniej u mnie, pobudza zmysły. Raz przy tem sprosnem rozmyślaniu przyszło mi na myśl, że jak pobożny chrześcijanin patrzy na ponętną zakonnicę, tak spogląda lekarz na smukłą postać chorej. Po jednej stronie stoi Bóg, po drugiej straszna, przerażająca choroba. Ktoby się odważył przerwać te szańce, dopuściłby się występku.

Na stopniach bocznego ołtarza klęczy kobieta z głową nisko spuszczoną. Zdaje mi się, że płacze.

Ma niebieską, perkalową suknię. Po bokach bielą się brzegi fartucha.

Grobowa cisza obudziła mnie z tego rozmyślania. Spojrzałem na ołtarz. Na stopniach klęczy młody, wysoki ksiądz w komży. Otyły proboszcz znikł właśnie za czerwoną portierą, wiszącą po obydwóch stronach ołtarza. Odmówił trzy razy „Ojcze nasz“ naprzemian z chorymi. Oprócz doktora i mniej więcej dziesięciu chorych nie modlił się nikt z całego zastępu. Jedni wstydzili się może, inni już dawno zapomnieli się modlić. Baron klęczał na obydwóch kolanach. Proboszcz $_*{}^*{}_*$.... stał w ławce ze złożonemi rękami, a dźwięczny głos jego brzmiał wyraźnie wśród całego zgromadzenia.

Młody ksiądz, kaznodzieja zakładowy, zadumał się na chwilę po odmówionych modlitwach. Jestto pełne wyrazu, uduchowione oblicze, z pewnym bolesnym odcieniem koło oczu i ust. Przyjemny, nieco gardłowy głos brzmi jak dzwon.

Po raz pierwszy w swem życiu słyszałem modlitwę, którą wzruszonym głosem wypowiedział. „Boże“, wołał szerokim i głębokim tonem, „wielki i niepojęty w swej mocy, niewyczerpany w swem miłosierdziu, spojrzyj dzisiaj, w dzień zaduszny i na tych, którym'ś niezbadanym wyrokiem pokrył cudowne siedlisko rozumu nieprzeniknioną zasłoną, przez którą może się przedrzeć tylko błysk nieskończonego i nieograniczonego Twego współczucia, miłości i miłosierdzia. Wszechmocny Boże, Ojcze nasz, ty najlepiej wiesz i znasz nieskończone ich cierpienie, tyś słyszał rozdzierający płacz, przejmujący więcej, niż narzekanie sierot, a boleśniejszy od szlochania nieszczęśliwych i opuszczonych wdów, Ty słuchałeś ich modlitw i widziałeś, jak ruchy ich rozumne z wytężeniem i największym wysiłkiem chwytają się słów, wołających ku Tobie o zmiłowanie i błagających Cię, abyś ukończył niewymowne ich udręczenia. Spojrzyj dziś na ten zastęp miłościwem okiem i rozprosz ciemność, okrywającą ich duszę na tym świecie, bo jak ciężkie wieko trumy zamyka na zawsze świat nad zmarłymi, tak ciemność owa odłączyła ich na zawsze od świata, przyjaciół, małżonków, rodziców i dzieci. Zmień tę moc w jasną zorzę niebiańskiego uczestnictwa w rozkoszach dusz wybranych, spojrzyj w niesłabnącej miłości swej i na wszystkich, tu zgromadzonych i na tych innych wijących się w szponach demona strasznej choroby, i spraw, aby wszyscy z uśmiechem na twarzy i w pełnem zdrowiu opuścili ten dom, gdzie już tak długie lata cierpią, płaczą i narzekają. W najgłębszej pokorze klęczę tu ja, sługa Twój, i błagalnym głosem wołam a proszę: Wieczny i nieśmiertelny Litośniku, Panie i Władco wszystkiego, co żyje i rozpada się, wysłuchaj mego wołania i zeszlij z niebios na dół anioła pokoju z rozkazem aby szedł od jednego do drugiego i gasił te pochodnie cierpienia, płonące w ich głowach, a duszom powrócił spokój. Dzień to zaduszny — lecz na grobach naszych zmarłych nie położy nikt ani kwiatka, nie zapali ani jednego światełka, nikt nie przyklęknie na grobie,

pod którym spróchniało serce, co wiele a niewinnie cierpiało, nikt nie odmówi ani jednego „Ojcze nasz“ za zbawienie i spokój tej udręczonej duszy. Na cmentarzu naszym pusto i grobowa cisza; w dzień, w którym najmniejsze i najnędzniejsze cmentarzyska w zapadłych wioskach są oświetlone, jak Boży grób w Wielki Piątek, tam łka i jęczy tylko wiatr, smutnie gwarzą ze sobą nagie korony, a liść pada jak łza na te opuszczone groby. A ci wszyscy, w grobach śpiący, za życia umarli dla świata, pamięć o nich wygasła już w tych murach, a gdy poumierali, nikt ich nie zna, nikt o nich nie wie. To też wszyscy czekają tylko na Ciebie, wielki Boże, abyś przyszedł i powołał ich ku Sobie, gdzie wieczna wesołość i niekończąca się radość, gdzie każdy widzi za sobą żywot ziemski jako błędny ognik, a przed sobą żywot zagrobowy jako ogromną zorzę. Jest dzień zaduszny, wielki Boże, więc nie zapomnij o tych wpółsennych i pamiętaj o tych co jęczą aż dotąd w ciężkich pętach grubych ciemności“.

Ksiądz skończył. Głucha i martwa cisza zaległa jakby dusząca i ciężka chmura nad zgromadzonymi. Ksiądz mówił powoli, każde jego słowo wymierzone ku świętemu drzewu Krzyża, miało wagę głazu. Obłąkani, siedzący w ławkach przez cały ciąg mszy prawie bezmyślnie i bez szczególnego współudziału, wstawali ze swych siedzeń i przysłuchiwali się wymownym słowom księdza z rozwartemi oczyma i płonącemi twarzami. Możnaby śmiało powiedzieć, że napięcie, z jakiem słuchali, zapierało im dech w gardle. Nikt nie wydał nawet szeptu, wszyscy spoglądali z jakiemś zdziwieniem i pomięszaniem ku ołtarzowi, ku temu najświętszemu miejscu, z którego dolatywały do ich uszu tak ciężkie żale i skargi na ich los.

Kto nie miał dotychczas rzetelnego pojęcia o swym politowania godnym stanie, obecnie go poznał i drgnął ze zgrozy.

Młody kaznodzieja o ognistem i pałającem sercu mówił prosto z duszy, lecz dzisiaj przebrał miarę. Nie bywa to we zwyczaju odkrywać przyjaciołom, zwłaszcza chorym, ich prawdziwy stan, szczególniej, jeżeli choroba grozi poważnem niebezpieczeństwem. W zakładach nazywa się obłąkanych eufemistycznie — chorymi: przykrego słowa „szpital warjatów“ i „obłąkany“ używa się tylko w aktach urzędowych i korespondencyjnych. Wiem o tem dobrze, iż prymarjusz kosmonoskiej filji dr. *** z wielkim taktem zwracał uwagę każdego, kto użył słowa warjat, że istnieją tylko „chorzy“. Jestto względność, na którą ci biedni ludzie zasługują w zupełności od każdego. Ksiądz nie mógł się istotnie goręcej modlić, lecz modły jego nie pocieszyły, nie wzbudziły nadziei i ufności w przyszłość; przeciwnie, każdego zmięszały i przeraziły. Im namiętniej, im żałośniej brzmiał głos jego, tem wyraźniej występowało wielkie nieszczęście przed ich oczyma. Kto się tak tkliwie modli i tak potężnie błaga, musi mieć do tego zaprawdę poważną przyczynę.

Wiedzieli o tem wszyscy siedzący tu lub stojący. Mowa kaznodziei zdziwiła lekarza — chorych złamała.

Ksiądz dawno już odszedł od ołtarza a w ławkach nikt się jeszcze nie poruszył. Wszyscy spoglądali jeszcze na ołtarz jakby chwytając echo tylko co słyszanych słów. Było to nagłe zdrętwienie, podobne do owego wrażenia wzrokowego, kiedy gwałtowne i niespodziewane światło oślepi na chwilę oczy.

W chwili tej było mi niezmiernie tęskno i smutno. W oczach poczułem nagle chłód, jak wtedy, kiedy łza niepostrzeżenie z nich wypłynie, zawiśnie na rzęsach i ostygnie. Rzecz dziwna, iż ani jeden z tych ludzi nie zapłakał, i to przejmowało mrozem. Gdzież ich łzy uwięzły? Jak mocne i potężne musiało być wstrząśnienie ducha, które pochłonęło te łzy?

Chorzy jak bez życia wysuwali się wolno i cicho z kościoła. Spoglądałem na rozchodzących się we wszystkich kierunkach do swych oddziałów. Podobni byli raczej do cieniów niż do żywych. „Wieczny Boże, nie zapomnij o tych wpół śpiących i pamiętaj o jęczących aż dotąd w ciężkich pętach grubych ciemności“ ozwało się nagle w mym duchu echo ostatniego zdania z głębokiej mowy kaznodziei.

Właśnie wybiła ósma godzina, kiedy przybyłem do swego oddziału.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z CHWILI.

(Kronika społeczno-polityczna.)

XI.

(Kongres pokoju w Bernie. — Czechy a Niemcy. — Smutny objaw emigracyi. — Cholera).

W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca obradował w szwajcarskim Bernie międzynarodowy kongres pokoju, w którym brało udział 319 parlamentarzystów różnych państw. Najliczniej reprezentowane były: Anglia, Francya i Szwajcarya; Austrya wysłała 26 przedstawicieli w tej liczbie, jak już nadmieniliśmy na innem miejscu, kilku Polaków. Kongres zagaił radca związkowy Ruchonnet, zaznaczywszy w swem przemówieniu, że jeśli włościanin i robotnik dadzą się pozyskać dla idei pokoju, tem samem kwestya zasadnicza będzie rozstrzygniętą. Baronowa Suttner, znana autorka książki p. t. „Precz z bronią“ przemawiała imieniem austryackich towarzystw pokojowych, a Rumun Eliscu, student, miał dłuższą mowę, w której piętnował anty-rumuńską akcyę narodowościową Węgrów. Kongres berneński, tak jak i trzy poprzednie, w Paryżu, Londynie i Rzymie nie obudził, jakieśmy to we wstępnym artykule przewidzieli, głębszego znaczenia.

Kwestye powszechnego rozbrojenia, polubownego załatwienia sporów, były już niejednokrotnie w ten sposób poruszane i to — zawsze po akademicku. Już Henryk IV francuski i Sully projektowali zorganizowanie Europy, która miała się związać wiecznym pokojem. W rachubę brane tam były tylko państwa wielkie, — między temi i Polska — i małe, lecz niezależne. Austrya miała być rozebraną między sąsiednie państwa, a Rosya i Turcya wykluczone ze związku cywilizowanej Europy. Spory miał załatwiać sąd polubowny, zbierający się kolejno w Paryżu, w Krakowie i Trydencie. Inny znowu projekt „pokojowej Europy“ jest dziełem księcia Karola de Saint Pierre, który swą *Republique européenne* oparł na 19 wolnych państwach, (i tutaj Polskę znajdujemy). Najsławniejszym jednak apostołem wiecznego pokoju był królewiecki filozof Emanuel Kant. W dziełku swojem „Zum ewigen Frieden“ nie zmienia on karty Europy, lecz żąda federacyi państw wolnych „o republikańskim“ ustroju. Jak widzimy idea pokoju nie jest nową; — przeszkodą, zaś do spełnienia tych pięknych zamysłów jest okoliczność, że istnieją szczepy i narodowości, które, mając świetną i potężną przeszłość, chcą mieć też i promień na przyszłość. Na podniesienie zasługuje wniosek posła Lewakowskiego, uczyniony na kongresie; mianowicie szanowny deputowany nasz żądał utworzenia międzynarodowego sądu rozjemczego dla spraw Polski, motywując postulat swój tem, że podobny kongres uchwalił w XVIII w. rozbiór Polski, niechaj więc dziś naprawi wyrządzoną nam krzywdę. Kongres jednak wyraził zapatrywanie, iż nie należy zasadniczo poruszać spraw narodowościowych, gdyż zadaniem jego jest rzekomo traktowanie braterstwa w przyszłości.

Trochę niewyraźnie wygląda to „braterstwo“, w chwili tworzenia nowych projektów wojskowych w Niemczech oraz coraz to potęgujących się antagonizmów narodowościowych, że wskażemy tylko na „braterstwo“ Węgrów i Rumunów lub Czechów i Niemców. Tymczasem panowie kongresowicze dali spokój gadaniu, odkładając dalszy ciąg rozpraw na rok przyszły i to do Chicago. Wówczas wśród tryumfów wystawy międzynarodowej „dojdą do nas znowu odgłosy dźwięków pokojowych“. — Już to w krajach, należących do korony św. Wacława wcale się na „braterstwo“ nie zanosi. W brew intencyom kongresu berneńskiego zacietrzewienie wrogich szczepów dochodzi tam do zenitu.

Rząd chce gwałtem przeprowadzić „ugodę“, a Czesi jej nie chcą; rząd odwołuje ministra dla Czech, młodoczesi odpowiadają na to czynną zniewagą Niemców — słowem ostatnie wypadki w Pradze, Iglau itd. nasuwają domysły, że walka czesko-niemiecka może przybrać jeszcze groźniejszy charakter. Ale i u nas od niedawna źle się jakoś dzieje. Moskiewscy agenci bałamucą naszych włościan i ciągną biedaków na zatratę do ojczyzny knuta. Dotychczas rolnicza ludność Polski jeżeli ulegała popędowi emigracyjnemu i silnemu działaniu agentów różnych przewozowych towarzystw, to kroki swe kierowała za ocean, do zjednoczonych stanów Ameryki, do Brazylii lub Argentyny, spodziewając się, że w krajach tych znajdzie więcej chleba i zarobku, by wróciwszy do ojczyzny — bo tego z oczu nigdy nie spuszczali — zacząć żywot bez troski i nędzy. Tak przedstawia się dotychczasowa ludu naszego emigracya, z nowszą zaś jej porą, pełną niebezpieczeństwa dla Polski i państwa, liczyć się musimy nie na żarty. Oto całe masy ludu ruskiego, oszołomione złudnemi obietnicami złotych gór na Kaukazie, przechodzą rosyjską granicę, udając się nad Wołgę; wierzą one kacapskim agentom, że „u naszego hosudarja jest złoto i srebro, dostaniesz tam dom, grunt i inwentarz bez żadnych podatków“. Na całem pograniczu od Brodów aż po Husiatyn lud opuszcza ojczyste zagrody, sprzedaje za bezcen ziemię i rzuca się w przepaść kaukazką. Austryackie władze — dopiero w ostatnich dniach zarządziły energiczne środki celem przeciwdziałania masowemu wychodźtwu ogłupiałego ludu. W danym wypadku wskazaną jest bezwzględna surowość władz. Rząd rosyjski wywozi jednych emigrantów w stronę Wiśniowca, innych w stronę Jampola wołyńskiego, a innych znowu do Wołoczysk i zaprzęga ich do budowy gościńca o znaczeniu strategicznym.

Cholera przestąpiwszy pierwotne swe granice dziś już po Europie gospodaruje na dobre. Nie mówiąc o Francyi, bo Paryż przez swe smutne zdrowotne stosunki stał się drugiem siedliskiem epidemii azyatyckiej, ale i dobrze strzeżone Niemcy mają już do czynienia z katastrofą w skutkach swych tak straszną. Hamburg, Brema, Attona a w ostatnich czasach i Berlin oto miejscowości gdzie zaraza zaczyna zbierać ofiary. W belgijskiem mieście Antwerpii straszna ta epidemia zabrała wnuczkę Frere-Orbana znanego i słynnego męża stanu. Austrya zamknęła swe porty przed okrętami Francyi, Niemiec i Rosyi, jednem słowem wszystkie państwa robią co mogą, by albo nie dopuścić w granice swoje cholery, albo wybuchłą już ograniczyć. Nie możemy powstrzymać się w końcu od uwagi, że władze Galicyi energicznie wzięły się do zapobieżenia złego, mogącego w każdej chwili się pojawić.

Z. P-VI.

Wpływ słońca na organizm ludzki.

W ciągłej pogoni za umożebnieniem warunków naszego życia, staje się często przypadek powodem użytecznych wynalazków, a instynkt — zbawiennych odkryć. Zdanie to potwierdza w ostatnich latach z bardzo dobrym skutkiem dla zdrowia zastosowywany środek: używania kąpieli słonecznych. — Od najdawniejszych czasów wspaniała gwiazda dnia wywierała na umysł ludzki potężny wpływ, którego głównym wyrazem był: kult religijny. Ale z upływem wieków, gdy z wyżyn świętości wiedza sprowadziła słońce do rzędu ciał niebieskich — i gdy następnie coraz to nowe wykazywała stosunki między niem a naszą planetą, zaczęli ludzie bardzo wiele okoliczności życia dostrajać do ożywczej siły słońca, a obecnie — idąc w ślad za instynktem prostaczków — badają pilnie czy i o ile siła ta korzystnie oddziaływać może na rozwój życia i zdrowie pojedynczych osobników.

Rezultatem dociekań tych jest już dziś niewątpliwe twierdzenie, że wpływ słońca na stan zdrowotny tworów organicznych, a w pierwszym rzędzie ludzi, jest nietylko niezaprzeczalny ale i nader zbawienny. Licznemi doświadczeniami stwierdzono bowiem, iż w grę wchodzi tu nietylko ciepło, ale i światło słoneczne, które w połączeniu z elektrycznemi, magnetycznemi, chemicznemi i innemi jeszcze dotąd nieznanemi siłami działając, sprawia, że organizm nadwątlony, wyczerpany, a czasami i zrujnowany nawet, wraca do pierwotnego stanu jędrności i mocy. *)

Silny dowód tego stanowią n. p. rośliny. Wszakże najlepiej rosną one pod promieniami słońca, najchętniej zwracają się ku niemu, a wtedy rozwijają się doskonale i najbujniejsze wydają owoce. Niemniej i chlorophyl (zieleń roślinna) wytwarza się i utrzymuje jedynie pod wpływem słonecznego światła. Słońce upiększa twory organiczne. Flora i fauna krajów gorących przedstawia się o wiele okazalej niż nasza. Lecz również i na ludzi oddziaływa słońce dodatnio. Dość spojrzeć na twarz i postawę człowieka, pracującego na wolnem powietrzu i porównać go z t. zw. książkowym mólem, który całe dnie spędza schylony nad stolikiem w zadusznym i ocienionym pokoju. Także górnicy, więźniowie i t. p. ludzie, żyjący w miejscowościach pozbawionych światła słonecznego, mają wygląd wątły, a cerę bladą i niezdrową. Co zaś do usposobienia, humoru i świeżości a ruchliwości umysłu, to i w tem niemałą rolę odgrywa wpływ słońca i jego błogosławionych promieni. O wieleż weselszymi są n. p. Węgrzy i Włosi, a czynniejszymi Francuzi lub Hiszpanie od mieszkańców stref północnych!*) Jasny, pogodny poranek dobrze usposabia nas na dzień cały, podczas gdy zamroczone niebo i dżdżyste powietrze odbiera nam humor i posępnymi czyni.

Same też chorobowe skłonności, a nawet — co więcej — sama, już w rozwoju będąca choroba, zwłaszcza polegająca na zaburzeniach organów nerwowych lub dróg oddechowych — dalej: wszelki upadek sił, przewlekła rekonwalescencya itp. w zupełności usuniętemi być mogą przez poddawanie się działaniu słońca, sposobem tak zwanych: kąpieli słonecznych.

Stwierdzono, że powietrze ogrzane i oświetlone słońcem, znacznie jest czyściejszem, niż pozbawione tego dobrodziejstwa. Jedynie bowiem pod wpływem promieni słońca odbywa się w przyrodzie jedna z najważniejszych przemian materyi, a mianowicie: przetwarzanie (za pomocą oddychania roślin) szkodliwego nam kwasu węglowego w tlen.... jak niemniej i utlenianie t. j. spalanie życiu ludzkiemu szkodliwych i w powietrzu obficie znajdujących się organicznych ciałek, a nawet — według twierdzenia franc. badaczy Arloing i Duchaux — niektóre zabójcze, pasożytne organizmy, wywołujące w naszem ciele choroby zakaźne, giną pod działaniem słonecznych promieni.

A ponieważ — jak to dowodnie wykazali dwaj włoscy uczeni: De Blasi i Susso-Travali oraz prof. z Bonu dr. Hertz — powietrze nasycone promieniami słońca jest doskonałym przewodnikiem słonecznej elektryczności, przeto i choroby nerwowe, pod wpływem tychże miewają o wiele łagodniejszy przebieg — a nawet ustępują zupełnie.

Zwłaszcza jednak w chorobach płucnych, leczenie za pomocą kąpieli słonecznych nader okazuje się zbawiennem. Wyjaśnia nam to teorya, mocą której ciepło i światło słońca sprzyja szybszemu z organizmu wydzielaniu niepotrzebnego, a nawet dla suchotników bardzo szkodliwego kwasu węglowego, i natomiast ułatwia przyjmowanie przez skórę i płuca większej ilości tlenu, który — jak wiemy — umożebnia przemianę materyi, mogącą jedynie normalny stan zdrowia przywrócić. Dlatego to młodzi lekarze tak bardzo zachwalają chorym pobyt latem na powietrzu — spacery po polach — leżenie pod gołem niebem — a przedewszystkiem kąpiele słoneczne. Tych, według metody amerykańskiej, powinno się używać w nadzwyczaj łatwo i praktycznie urządzonych łaźniach t. zw. solaryach.

Za model posłużyć może zimowe solaryum przy szpitalu w Nowym Yorku będące. Jestto obszerny domek, o ścianach i o dachu szklannym. Tam przez dzień cały nurzają się chorzy w zbawczych promieniach dobroczynnego słońca i od przeróżnych uwalniają się cierpień. Latem lepiej jednak na zupełnie wolnem powietrzu, gdzieś w ustronnem miejscu, odbywać kuracyę słoneczną. Całe ciało obnażywszy, wystawić je należy na łagodne działanie ukośnie padających promieni, najlepiej rankiem lub popołudniu — przed lub po kąpieli wodnej — przyczem uważać trzeba, aby to nie trwało zbyt długo... a raczej wskazanem jest powolne i stopniowe przyzwyczajanie się do tego rodzaju leczenia...

Marya Taida Parvi.

*) Najenergiczniej zdanie to popierał sławny niem. anatom Gustaw Voigt.

*) Lenistwo ciała i apatya ducha ludów zon podzwrotnikowych nie przemawia na korzyść naszego zapatrywania, albowiem wszelki nadmiar — a więc i nadmiar słonecznego wpływu, niweczy dobre skutki przez ubezwładnienie organizmu.

POKŁOSIE LITERACKIE.

Abgar-Sołtan. Józef Jerzy Hordyński-Fed'kowicz, poeta ruski na Bukowinie. 1882, str. 32.

Znajomość literatury małoruskiej ogranicza się u nas na przekładach Szewczenki, na czytaniu „Ukrainok z nutoju Tymka Padury,“ wreszcie na przekładach opowiadań Kulisza. Po za tem wiemy coś jeszcze, ale już bardzo mało. Dobrą więc miał myśl znany powieściopisarz, p. Abgar-Sołtan, że dał nam przystępny życiorys jednego z najtęższych pisarzy literatury małoruskich w nowym jej rozwoju. Autor zebrał dość ciekawych szczegółów, uplastyczniających postać i działalność poety. Byłoby rzeczą pożądaną, abyśmy mając życiorys Fed'kowicza, postarali się o przyswojenie naszej literaturze wyboru jego utworów. Broszura p. A-S. czyta się dobrze, jako rzecz ciepło i gładko napisana.

K. B.

Jeremiasz prorok, dramat historyczny napisał Żmigrodzki Michał. Kraków, 1892 str. 126.

P. Żmigrodzki, głośny ze swojej „Statystyki“ bibliotekarz w Suchej, dużo czasu poświęcił na studja do swojego dramatu. Korzystał z 48 źródeł i dzięki temu napisał ciekawą przedmowę, zapoznającą czytelnika z jednym z najstraszniejszych dramatów w dziejach ludzkości. Sam utwór kuleje na brak warunków scenicznych. Występuje w nim ni mniej, ni więcej tylko 46 osób, nie licząc ludu, wojska, heroldów, setników, niewolników. Pod względem literackim praca to jednak nie bez wartości. Dyalogi niektóre silne i poetyczne. Język barwny i czysty, z małemi wyjątkami („uśpiał“, „tażto“, „usiwny“).

K. B.

Madonna Busowiska, nowella, napisał Władysław Łoziński. Kraków, 1892 str. 62.

Jedna z najpiękniejszych nowel w naszej literaturze wyszła w osobnej odbitce. Łoziński, głęboki znawca serc i zwyczajów ludu ruskiego, w świetną szatę (może przez to że prostą i naturalną) przyodział opowiadanie o nowym obrazie Matki Bożej, wymalowanym dla świeżo wybudowanej cerkwi. Twórca obrazu, amator-dyletant, nie trzymał się utartego szablonu, nie namalował Najśw. dziewicy „po korsuńsku“ według przepisów „Hermenai“ i Podlinnika. Ztąd topór przeciw obrazowi ze strony djaków, oraz interesowanych miejscowych autorytetów malarskich. Opór ten rozbija się zrazu o sympatję dla obrazu ze strony tych, którym do serca przemówił, — intrygi jednak prowowiernych doprowadzają do wyniesienia go z cerkwi. Ale następuje cud: dwie baby, pilnujące ciała zmarłego na suchoty twórcy obrazu, ujrzały nad ra-

nem w półcieniu model artysty przy jego łożu śmiertelnem. Rozchodzi się wskutek tego wieść, że sama Matka Boża odwiedziła ciało malarza, a wieść ta wywołuje krwawe starcie obu stronnictw. „Madonna“ jest małem arcydziełem, a jedynie zarzucić jej można tytuł obcy, boć to nie „Madonna“, lecz Matka Boża lub, „Bohorodycia“.

K. B.

Abgar-Sołtan, Z carskiej imperji, szkice. Kraków, 1892 str. 237.

Najobszerniejszym szkicem jest „Ksiądz Jan“, opowiadający dzieje prozelity, syna prawosławnego ojca i matki katoliczki, „Kola Rokitin“, to portret moskiewskiego „diejatiela“, którego przekonania nie są w zgodzie z narzuconymi mu czynami. Oba wyliczone szkice pełne dosadnej charakterystyki ludzi, stosunków i obcego nam pojęciami i wrogiego świata. W Vacărze opowiada autor spotkanie swoje na ziemi rumuńskiej z osiadłym tam wychodźcą z r. 1863; bolesną nutę tego opowiadania urozmaica wprowadzenie oryginalnej postaci kniazia Enemuk Hana, tatara w służbie rosyjskiej. Mniejszej wartości jest szkic „Jak wielu“, w którym zbyt pobieżnie skreśloną jest sylweta człowieka, rozpoczynającego z wiarą w swoje zdolności zawód pisarski, a kończącego na reporterce. Również słabym, bo afektowanym obrazkiem są „Ruiny“ z reminiscencyami Targowicy. Zalety pisarskie autora „Klubu nietoperzy“ zbyt są już znane, aby je wyliczać potrzeba. Razi nas w „szkicach“ tylko pewna jednostajność sentymentu i ta przestarzała forma wyrażania uczuć autorskich nie treścią opowiadania, ale własnemi słowy.

K. B.

MISCELANEA.

*** „Thaddaeus Kosciusco und sein Kampf für Polen“. Pod powyższym tytułem zamieściła wolnomyślna demokratyczna *Frankf. Ztg.* w fejletonie w 3 numerach obszerną rozprawę, napisaną przez dr. Emila Neuburgera z Frankfurtu. Przeczytaliśmy ją z najwyższem zadowoleniem i stwierdzamy na chlubę autorowi, że cała rozprawa jest prawdziwą apoteozą naszego największego bohatera narodowego, napisaną na podstawie p r a w d y historycznej. Autor nie ma słów na uczczenie wielkości charakteru, patryotyzmu i wysokich zdolności wojskowych bohatera z pod Dubienki i Racławic, prostuje fałsz historyczny, jakoby Kościuszko zdobył się pod Racławicami po przegranej bitwie na rozpaczliwe słowa „Finis Poloniae,“ i stara się wreszcie nieudanie powstania Kościuszkowskiego i w ogóle rozbiory Polski usprawiedliwić niekorzystnem położeniem politycznem Polski i zdradliwymi zamachami państw ościennych na całość nieszczęśliwego narodu. Za pełną podniosłych myśli pracę tę należy się autorowi szczere uznanie. Także *Frankf. Ztg.* należy się uznanie, że pracy tej udzieliła gościnności w swych łamach.

*** Eliza Orzeszkowa ukończyła powieść większych rozmiarów, która ma być ogłoszona w *Bibliotece Warszawskiej.*

*** Wybitny nowelista p. Jan Rutkowski wykończył powieść *Ruchome piaski.*

*** *Bluszcz* rozpoczął druk humoreski przez Esteję p. t.: „Tomcio i Romcio.“

*** Józef Bliziński kończy nową komedyę, przeznaczoną na sezon zimowy teatru krakowskiego.

*** Wkrótce ma wyjść z druku zbiór poezyj utalentowanego pisarza, p. Edmunda Bogdanowicza (Bożydara), rozproszonych po czasopismach.

*** Ministerstwo spraw wewnętrznych w Petersburgu zawiesiło wydawnictwo *Kaliszanina* na przeciąg ośmiu miesięcy.

*** Program III zjazdu techników polskich we Lwowie w dniach 10, 11 i 12 września b. r. jest następujący:

Dnia 9 września (piątek) o godzinie 8 wieczór zebranie towarzyskie w lokalnościach kasyna miejskiego (ul. Akademicka l. 13).

Dnia 10 września (sobota) przed południem pierwsze posiedzenie plenarne w auli szkoły politechnicznej, początek o godz. 9 rano: 1) Otwarcie zjazdu. 2) Wybór prezesa, 4 zastępców i 4 sekretarzy. 3) Odczytanie protokołu 2go zjazdu techników polskich z r. 1886. Powitanie zjazdu przez prezesa wystawy przemysłu budowlanego i zaproszenie do zwiedzenia wystawy. Zwiedzenie wystawy przemysłu budowlanego. Wspólny obiad w ogrodzie miejskim — Po południu odczyt inż. Józefa Łubieńskiego „O potrzebie utworzenia zbiorów materyałów budowlanych, znajdujących się w ziemiach polskich,“ o godzinie 5 w sali ratuszowej.

Dnia 11 września (niedziela) przed południem: 1) Dalsze zwiedzanie wystawy od godziny 9—11 rano. 2) Zwiedzanie znaczniejszych budynków. Po południu (o godz. 5) wspólna wycieczka na kopiec Unii Lubelskiej i podwieczorek na wysokim Zamku.

Dnia 12 września (poniedziałek) przed południem drugie posiedzenie plenarne w auli szkoły politechnicznej, początek o godz. 9 rano. 1) Odczyt architekta Winc. Wdowiszewskiego: „Z historyi budownictwa w Polsce“. 2) Wnioski członków zjazdu. 3) Zamknięcie zjazdu. Po południu: O godzinie 8 wieczór bankiet pożegnalny w sali Towarzystwa strzeleckiego.

Wszelkich informacyj dotyczących zjazdu, udziela biuro Towarzystwa politechnicznego we Lwowie (Rynek l. 30). Karta udziałowa kosztuje 2 złr., karta na bankiet 4 złr.

*** Pan St. Rossowski znany poeta, zamierza wejść w spółkę z nowym właścicielem „Swiata“ i przenieść Redakcyę tego pisma do Lwowa.

*** Krakowski „Czas“ drukuje bardzo zajmującą powieść „Anima vilis“ osnutą na tle życia Polaków w Syberyi, pióra panny Rodziewiczówney.

*** Na froncie nowego teatru w Krakowie ustawiono już drugą alegoryczną grupę: „Muzyka, opera seryo i opera buffo“ dłuta p. Dauna.

*** Dnia 29 Sierpnia br. o godzinie 11 rano nastąpiło uroczyste otwarcie wystawy przemysłu budowlanego we Lwowie.

*** Donoszą z Medyolanu, że hr. Szczawiński Brochocki prosił słynnego wydawcę medyolańskiego p. Giulio Riccordi, jak również członków komisyi teatru La Scala, aby zechcieli udać się do Wiednia na przedstawienie „Halki“ co zachęci ich niezawodnie do wystawienia jej w Scali. Jak wiadomo tenże sam mecenas sztuki, hr. Szczawiński Brochocki, jeszcze przed 3 laty pragnął wystawić „Halkę“ w Medyolanie, korzystając z pobytu w tem mieście artystek takich, jak panie: Arklowa, Klamrzyńska i panna Skąpska. Municypalność Medyolanu i komisya właścicieli lóż w La Scala ofiarowały uprzejmie na ten cel ów teatr, największy na świecie.

Dochód z przedstawienia miał być obrócony na cele dobroczynne. Niestety, Reszkowie, zaangażowani do Londynu, nie mogli wówczas przybyć do Medyolanu w porze, w której świetna orkiestra Scali była jeszcze w komplecie, a że bez nich powodzenie nie mogło być pewnem, wypadło tedy zaniechać zamiaru, któryby zapewne wówczas już otworzył „Halce“ wrota wszystkich teatrów europejskich.

*** O stanie zdrowia Guy de Maupassanta nadchodzą obecnie lepsze wiadomości. Dzienniki zaprzeczają ostatnim pesymistycznym wieściom, przypisując je rozdrażnieniu reporterów, którzy na natarczywe pytania o zdrowie Maupassanta, otrzymywali w zakładzie Passy krótkie, niezadawalające ciekawości, odpowiedzi. Chory powieściopisarz fizycznie ma się zupełnie dobrze i cieszy się doskonałym apetytem. Książki odrzucił zupełnie, lecz gdy który z przyjaciół lub wielbicieli przyjdzie do niego, z zajęciem rozmawia o kwestyach literackich i politycznych. Jeżeli się czuje zmęczony rozmową, żegna swoich gości i wraca do ogrodu do rydla i grabi. Lekarze mają nadzieję, że za kilka miesięcy stan Maupassanta polepszy się na tyle, że gdzieś zdala od wrzawy, wśród ciszy, nową egzystencyę rozpocznie. Maupassant godzi się ze zdaniem swych bliskich, że do pióra już nie wróci i zamierza osiąść na wsi.

*** Na ubiegłym przed kilku dniami drugim międzynarodowym kongresie psychologii w Londynie postanowiono na następny kongres w roku 1896 zjechać się w Monachium. Na prezesa kongresu tego obrano profesora Stumpfa w Monachium, na sekretarza dra Schrenk-Notzinga, ogólnie znanego autora licznych prac z dziedziny psychofizyologii, hypnotyzmu itd.

*** Niemiecki poeta Feliks Dahn autor dzieł: „Walka o Rzym“ i „Krzyżacy“ napisał z powodu misyi pokojowej baronowej Suttner następujący, wcale nie szarmancki wierszyk:

Górą bronie! Miecz mężów zaleta,
Gdzie męże wojują — niech milczy kobieta,
Niestety, dziś tak często doświadczać się zdarzy,
Że mężczyźnie bardziej — spodnica do twarzy.

*** Kurator odeskiego okręgu naukowego, jak donoszą „Od. Now.“, przedstawił ministeryum oświecenia publicznego projekt zaprowadzenia w gimnazyach i szkołach realnych nauki jazdy welocypedowej, a mianowicie dla uczniów klas niższych na welocypedach trzechkołowych, dla uczniów klas wyższych — na bicyklach i rowerach.

*** Ostatni zeszyt sprawozdań Towarzystwa poszukiwań psychicznych, wydawanych w Londynie, zawiera niezmiernie ciekawy artykuł p. t. „Wskazówki dalszego ciągu ziemskiej świadomości w duszach (phantasms) osób zmarłych“. Innemi słowy, autor zebrał autentyczne wiadomości o... doświadczeniach człowieka po śmierci. Osoby, które przeszły te doświadczenia — a są między niemi lekarze i duchowni — twierdzą, że zdarzyło im się... umrzeć razu pewnego, umrzeć w przekonaniu rodziny i doktorów. Po opisaniu mniej lub więcej śpiesznych paroksyzmów, zwiastujących rozłąkę ducha z ciałem,

następuje zgodne sprawozdanie z czynności ducha. Rozstaje się on z ciałem, opuszczając mózg, w którym umierający czuje lekkie ciśnienie Natychmiast potem, duch otrzymuje kompletną świadomość siebie, spogląda na swe ciało z pogardą, a na krewnych przy łożu z obojętnością. Duch widzi się w nowem, transcedentalnem ciele, czuje się niesłychanie lekkim i potężnym, przebywa przestrzenie...

Ale przez cały ten czas duch jest świadomym pewnej łączności z ciałem i umarłym — i to sprawia mu wielką przykrość, bo niczego tak nie pragnie, jak zapomnieć o swej ziemskiej pokrywie.

*** Pod przewodnictwem Juliusza Claretie utworzył się w Paryżu komitet, celem wystawienia pomnika założycielowi dziennikarstwa, Teofrastowi Renaudotowi, który 30 maja 1631 r., otrzymawszy od Ludwika XIII „przywilej drukowania i sprzedawania nowin oraz opowieści tego, co się działo i co się dzieje w granicach Królestwa i po za jego obrębem“ wydał pierwszą „Gazette.“

*** Olbrzymi chór złożony z 346 osób przybywa z Bayreuth do Warszawy.

Impresaryo p. Neuhansen bawił w tych dniach w Warszawie, zapewniając, że chór przyjedzie zaraz po zamknięciu wystawy teatralno-muzycznej w Wiedniu.

Wypada nadmienić, że członkowie chóru są to ludzie zamożni i odbywają podróż z amatorstwa, nie licząc na zyski.

*** Stuletni jubileusz ustanowienia katedry języka czeskiego w uniwersytecie czeskim przypada na rb. Pierwszym profesorem tego języka został sławny historyk, Franciszek Marcin Pelel, który rozpoczął lekcye swe po niemiecku 13 marca 1793 r.

*** „Le Tour du Monde,“ tygodnik paryski, poświęcony głównie opisom podróży, w ostatnim numerze zamieścił obszerny opis ekspedycyi afrykańskiej, przedsięwziętej przez Jana Dybowskiego. Numer ozdabia portret dzielnego podróżnika, tudzież grupa wyobrażająca go w otoczeniu uczestników wyprawy.

*** W ubiegłą niedzielę w paryzkim teatrze Bouffes, dawano siedemsetne przedstawienie „Miss Helyett“. W ciągu ostatnich lat kilku żadna sztuka nie miała tak wielkiego powodzenia.

*** Najwyższą nagrodę w tegorocznym salonie paryskim uzyskał znany malarz Albert Meignan za obraz pt.: „Apoteoza rzeźbiarza Carpeaux“; w dziale rzeźby medal honorowy udzielono p. Cordonier, w dziale sztychów: p. Maurand. (Patrz artykuł: "Salony paryskie“ w nr. 13 Myśli).

*** W „Bibliotece warsz.“ drukuje p. St. Kozłowski studyum o „H. Sienkiewiczu, jako powieściopisarzu historycznym.“

*** Dnia 9-go sierpnia r. b. była obchodzona w Rzymie 70-ta rocznica urodzin znakomitego profesora fizyologii i filozofa, senatora włoskiego Jakóba Moleschott'a. Słynny filar materyalizmu urodził się w Herzogenbuschu, uczył się w Heidelbergu, gdzie też rozpoczął swą profesorską działalność.

Nekrologia.

† Prof. dr. Ottomar Novak, znakomity paleotolog czeski, profesor zwyczajny geologii i paleontologii w uniwersytecie czeskim w Pradze, członek nadzwyczajny akademii nauk i członek Towarzystwa naukowego, zakończył żywot w końcu lipca rb., w wieku lat 41.

† Z Jeny donoszą, iż zmarł tam w 63 r. życia teolog protestancki prof. dr. Ryszard Lipsius.

† Na wysepce Guernesey, w domu i w otoczeniu wnuków Wiktora Hugo, zmarł teraz w 53 r. życia Armand Gouzien, dość znany literat i publicysta paryski, krytyk teatralno-muzyczny „Rappella“. Był on, między innemi, autorem kilku bardzo popularnych dzisiaj piosenek bulwarowych.

† W Etretat, francuskiej miejscowości kąpielowej zmarła sławna śpiewaczka Celia Trebelli. W dwudziestym pierwszym roku życia pierwszy raz wystąpiła na scenie w Madrycie. Znany impresario Morelli zaangażował ją następnie i z nim objechała całą niemal Europę i Amerykę, potem odbywała podróże z Allmannem i wszędzie za cudowny swój głos altowy odbierała zasłużone oklaski. Trebelli urodziła się w Paryżu w 1838 r. a w 1865 zaślubiła włoskiego tenora Gaetana, wkrótce jednak z nim się rozwiodła. Odtąd nie krępowana przez nikogo objeżdżała świat cały zbierając złoto i wawrzyny.

† We Frankfurcie nad Menem zmarł dr. H. Meyer, b. profesor anatomii w Zurychu, znany z badań nad mechaniką ciała ludzkiego.

Treść Numeru:

Z drukarni Aleksandra Słomskiego i Sp. w Krakowie.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Bornsztein.**